

Cynthia Rutledge

Syn miliardera

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kaitlyn Killeen delikatnie rozpiniała koszulę mężczyzny. Nawet nie spytała go o imię, nie widziała takiej potrzeby. Wyglądała na zupełnie spokojną, chociaż dłonie drżały jej nieco, gdy zsuwała koszulę z jego szerokich ramion.

Nawet nie drgnął. Przysięgłaby jednak, że w jego orzechowych oczach zatliło się pożądanie. Jej serce zaczęło szybciej bić.

Wcześniej nie miała czasu, by przyjrzeć się nieznajomemu, ale teraz otaksowała go uważnym spojrzeniem - smukłe, muskularne ciało bez grama tłuszczu, złociste włosy na szerokim torsie. Przedtem wydawało jej się, że miał około trzydziestki, ale teraz doszła do wniosku, że był mniej więcej w jej wieku. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. I był niesamowicie przystojny. Siedział przed nią rozluźniony i pewny siebie, czego Kaitlyn szczerze mu zazdrościła.

- Nie wyglądasz na osobę, która prowadzi siedzący tryb życia - zauważyła, zawierając w tym na pozór obojętnym stwierdzeniu podziw dla jego wspaniałego ciała.

- Dużo... - Zawahał się na moment. - Ostatnio dużo pracowałem na świeżym powietrzu.

Zerknęła na niego z ciekawością. Dałaby sobie głowę uciąć, że zamierzał powiedzieć zupełnie co innego. Na przykład coś o uprawianiu sportu. To jednak zabrzmiałoby trochę bez sensu.

Bezrobotni raczej niczego nie trenują, a kilka chwil wcześniej, gdy szli na górę, zdradził jej, że nie ma pracy i jest kompletnie splukany.

Podobno zostało mu zaledwie dwadzieścia dolców.

Wyciągnęła koszulę ze spodni mężczyzny i rzuciła ją na krzesło. Lekko przesunęła dłońmi po jego brzuchu, czując teraz wyraźniej zapach wody kolońskiej. Jej serce znowu zaczęło zachowywać się dziwnie, chociaż Kaitlyn nie zamierzała dopuścić do siebie żadnych emocji. Zrobi to, co musi, ale na tym jej rola się zakończy.

Jej palce dotknęły płaskiego i opalonego brzucha tuż nad kłamrą od paska. Mężczyzna wciągnął powietrze z głośnym syknięciem.

- Przepraszam - powiedziała, podnosząc na niego wzrok. Ich spojrzenia spotkały się.

- Nie ma za co. Po prostu to miejsce jest trochę bardziej wrażliwe.

Zawahala się. Nie była pewna, czy on nadal chce, by się nim zajmowała. Jednak nieznajomy inaczej zrozumiał jej wahanie.

- Nie musisz tego robić, jeśli nie masz ochoty - zaproponował. - Przecież nawet mnie nie znasz.

- Ty też mnie nie znasz - odparła, siląc się na lekki ton. - Skąd wiesz, czy potem nie będziesz żałować?

- Mam nadzieję, że nie. - Uśmiechnął się po raz pierwszy. - Poza tym trochę cię znam, to znaczy przynajmniej wiem, jak masz na imię.

Kąty, prawda?

- Kaitlyn - poprawiła odruchowo. Wprawdzie ojciec i bracia zawsze nazywali ją „Kąty”, ale to zdrobnienie było dobre dla dziecka, którym nie była ani teraz, ani nigdy. Los nie dał jej takiej szansy.

- Jestem Clay Reynolds - powiedział nieznajomy, chociaż o nic go nie pytała.

Nie rozumiała, czemu się jej przedstawiał. Przecież za kwadrans stąd wyjdzie i więcej się nie zobaczą, po co więc zawracać sobie głowę?

- Dobra, bierzmy się do roboty - rzuciła ostrzejszym tonem, niż zamierzała. - Nie mogę spędzić tu z tobą całej nocy.

Uśmiech znikł z jego twarzy. Gwałtownie odsunął jej rękę i wstał, sięgając po koszulę.

- Nie powinienem tu przychodzić. To był zły pomysł. Zawstydzila się swojej szorstkości.

- Nie odchodź - niemal krzyknęła, chwytając go za ramię. - Zostań, proszę.

Zajrzał jej głęboko w oczy.

- Naprawdę jesteś pewna, że chcesz to robić? Kaitlyn zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Tak, jestem pewna.

Kwadrans później Clay McCashlin zszedł na parter, nie spuszczać wzroku z idącej przed nim dziewczyny, która właśnie przed chwilą opatrzyła go jak najlepsza pielęgniarka. Nieznajoma intrygowała go. Starannie oczyściła poranioną skórę, usunęła piasek i żwir, które wbiły się w ciało, nałożyła bandażę, a wszystko to z niezachwianym spokojem. Żadnych zalotnych spojrzeń, wieloznacznych uśmiechów, żadnych kobiecych sztuczek. W swoim życiu rzadko spotykał nieprzystępne kobiety, bardzo rzadko.

A może po prostu przestał już wywierać wrażenie na płci pięknej?

Nonsens. Nie powinien oceniać wszystkiego przez pryzmat zerwanego narzeczeństwa. Wprawdzie Lynda pragnęła wyłącznie jego pieniędzy, a nie jego samego, ale to nie oznaczało jeszcze, że każdy związek musiał się równie źle skończyć. Niemniej jednak przez ostatnie pół roku Clay nawet przez moment nie myślał poważniej o jakiejś kobiecie.

Przeniósł spojrzenie na dopasowane spodnie Kaitlyn. Ależ ona zgrabna... Pamiętał też doskonale, jak materiał bluzki pięknie opinał

się na jej piersiach, gdy pochylała się nad nim.

Była ubrana na zielono, co podkreślało odcień jej oczu ' i harmonizowało z rudymi włosami. Clay niezbyt lubił ten kolor, ale tym razem uważał, że płomienna fryzura dodaje dziewczynie uroku. Kaitlyn miała bardzo jasną cerę i regularne, klasyczne rysy. Dla wielu mężczyzn nie stanowiłaby ideału urody, a przecież emanował z niej jakiś nieuchwytny czar. I był taki moment, gdy Clay, pomimo naprawdę dokuczliwego bólu, miał ochotę ją pocałować. Założę się, że strzeliłaby mnie na odlew. Dziewczyna z ikrą. To mi się podoba.

- I co? Poskładała cię jakoś do kupy? - Ojciec Kaitlyn stał u podnóża schodów, uśmiechając się niepewnie.

Clay widział, że Frank Killeen wciąż czuje się winny. Próbował mu tłumaczyć, że przecież nic wielkiego się nie stało, ale bez rezultatu.

- Jestem jak nowo narodzony - zapewnił.

- Moim zdaniem ma pęknięte żebra. - Kaitlyn posłała ojcu wymowne spojrzenie. - Uważam, że powinien obejrzeć go lekarz.

- O, nie! - zaprotestował szybko Clay. Nie miał przy sobie pieniędzy na prywatne leczenie, a w książeczce ubezpieczeniowej widniało jego prawdziwe nazwisko. Tylko dowód miał fałszywy. Gdyby wydało się, kim jest, musiałby zwijać się stąd natychmiast. - Nie ufam lekarzom - dodał wyjaśniająco.

- Doskonale rozumiem - przytaknął Frank, poważniejąc nagle.

Również Kaitlyn dziwnie posmutniała, a ojciec niezgrabnie poklepał ją po ramieniu. - Ale jeśli sądzisz, że trzeba go zabrać do...

- Nic mi nie jest - uciał zdecydowanie Clay.

- No, nie wiem, nie wiem... Naprawdę nieźle cię poturbowałem.

Powinienem być przynajmniej zwolnić. W końcu znak „stop” stoi tam nie bez powodu.

- Nie ma o czym gadać, każdemu mogło się zdarzyć. Naprawdę, to nic poważnego, trochę mnie pobolewa, ale przejdzie za parę dni. - Clay sięgnął zdecydowanie po torbę i chciał ją przerzucić przez ramię, ale ruch wywołał taki ból w boku, że skrzywił się mimo woli. Szybko przełożył torbę do drugiej ręki. - Dzięki za pomoc. Powiedzcie mi tylko, gdzie jest najbliższy motel.

Frank przyglądał mu się w zamyśleniu.

- Najbliższy? W całej okolicy jest tylko jeden, w dodatku w remoncie. Tego Clay nie przewidział.

- Są jeszcze motele w Vickersville - wtrąciła Kaitlyn. - To niedaleko, dwadzieścia parę kilometrów. Frank spojrzał na córkę z dezaprobatą.

- Przecież tyle to on nie przejedzie - wytknął jej. - Poza tym jego motor najpierw trzeba dać do warsztatu, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku. Zresztą i tak nie mógłby prowadzić. Skąd wiemy, że nie doznał wstrząśnienia mózgu?

- To co proponujesz? - spytała chłodno.
 - Nie proponuje, tylko już zdecydowałem - odparł z naciskiem Frank. - Zostaje u nas. Potrafiłem go i teraz jestem za niego odpowiedzialny.
 - Ja to widzę trochę inaczej... - zaczął Clay, ale Frank po prostu wyjął mu torbę z ręki.
 - Zostajesz u nas i koniec. Żadnych dyskusji. Kaitlyn zmarszczyła brwi.
 - Gdzie zamierzasz go położyć? Tylko pokój Bena jest wolny, ale nie możesz...
 - Czy ja mówiłem coś o pokoju Bena? - przerwał jej ojciec.
 - Nie chciałbym robić kłopotu... - wtrącił z kolei Clay, ale Frank przerwał mu również:
 - Żaden kłopot. Mamy tu takie dodatkowe pomieszczenie nad garażem, spodoba ci się. Oczywiście, żadnych luksusów tam nie znajdziesz. Jak będziesz chciał się wykapać, musisz skorzystać z naszej łazienki.
- Clay nie dał po sobie nic poznać, chociaż był mocno zaskoczony tym, co usłyszał. Do tej pory tylko jeden raz w życiu korzystał ze wspólnej łazienki, gdy jako dzieciak pojechał na obóz. Niesamowite. W świecie, w którym się obracał, coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Umiał jednak docenić wspaniałomyślność Franka.
- Dzięki.
 - Ale to klitka! - zaprotestowała Kaitlyn. - W dodatku czuć tam benzyną i smarem!
- Clay bardzo nie lubił pchać się gdzieś, gdzie nie był mile widziany, jednak tym razem nie miał żadnego wyboru.
- Mnie to nie przeszkadza. Przecież chodzi zaledwie o kilka dni. Jak tylko dostanę pracę, znajdę sobie jakieś lokum.
 - Nie ma pośpiechu - powiedział uspokajająco Frank.
 - Najpierw musisz się z tego wylizać, a potem pomyślimy o pracy.
 - Nie wiem, czy znajdziesz pracę w Shelby. - W głosie Kaitlyn słychać było powątpiewanie. — A co właściwie chciałbyś robić?
 - Obiło mi się o uszy, że zakłady elektroniczne szukają pracowników - odparł, starając się nie zdradzić, jak wielką wagę do tego przywiązuje. Musiał dostać tę pracę, po prostu musiał! Inaczej całe śledztwo na nic. - Twój ojciec już mi obiecał, że szepnie za mną słówko.
 - Chcesz pracować dla McCashlina? - spytała Kaitlyn, akcentując ostatnie słowo. - Dlaczego?
- Frank zdenerwował się i zacisnął zęby, aż zadrgał mu mięsień na policzku.
- Dość, Kąty!
 - W porządku. Przepraszam, pójde zrobić kolację. - Odwróciła się na pięcie i ruszyła do kuchni.
 - I postaw dodatkowe nakrycie - krzyknął za nią ojciec.

- Clay zje z nami.
- Kiedy ja naprawdę nie chcę się narzucać...
- Ile razy mam ci powtarzać, że jesteś tu mile widziany?

Clay czuł, że Frank mówi szczerze, ale wątpił, czy jego córka widzi go równie chętnie. Ona chyba wolałaby, żeby zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Kaitlyn westchnęła z irytacją. Przy maleńkim stole tłoczyli się czterej mężczyźni: ojciec, jej dwaj bracia i niechciany gość. Dla niej nie było już miejsca, ale nie zamierzała jeść na stojąco. Trzepnęła lekko Joego. Dopiero to uprzytomniło mu, że powinien się przesunąć i zrobić siostrze miejsce.

Kiedy nakrywała do stołu, ułożyła sztuce zgodnie z upodobaniami taty - wszystkie po prawej stronie talerza. Zauważyła, że Clay odruchowo ułożył je tak, jak trzeba. Niewiele osób w Shelby wpadłoby na to, jej również nie wpojono tej wiedzy w domu. Dowiedziała się tego z książek. Z tego samego źródła nauczyła się też wielu innych rzeczy, na przykład jak prowadzić konwersację, jak przedstawiać sobie ludzi, jak się zachować w najróżniejszych sytuacjach. Pewnego dnia, gdy wreszcie opuści Shelby, ta wiedza może jej się przydać.

Zapewne wszystko ułożyłoby się inaczej, gdyby mama nie zmarła, kiedy Kaitlyn miała dziesięć lat. Byłaby niewątpliwie sojuszniczką córki w jej dążeniach do tego, żeby żyć estetyczniej. Mama z całą pewnością potrafiłaby docenić takie rzeczy, jak ładnie nakryty stół czy dobrze skrojone ubranie.

Wszyscy utrzymywali, że była do niej uderzająco podobna, ale Kaitlyn nie rozumiała, na czym to podobieństwo miałoby polegać. Mama była prześliczną, drobną blondynką, o bardzo kobiecej figurze, podczas gdy Kaitlyn, ruda i wysoka, ubolewała nad tym, że jest płaska jak deska. No, może nie tak zupełnie płaska, ale jednak...

Urodą też nie olśniewała. Chociaż jej przyjaciółka, Lori, powiedziała kiedyś, że jest wcieleniem klasycznej elegancji. Wprawdzie w odpowiedzi na ten komplement Kaitlyn zaśmiała się z niedowierzaniem, tym niemniej zapamiętała go i gdy tylko zaczynała wątpić w siebie, przypominała sobie słowa Lori, by umocnić się w przekonaniu, że córka robotnika z zapadłej miejsciny wcale nie musi być skazana na przeciętność.

Podobnych wspomnień miała na podorędziu kilka: nauczycielka gry na pianinie twierdziła, że Kaitlyn ma świetny słuch muzyczny; pewien Francuz był przekonany, że rozmawia z rodaczką, gdy usłyszał jej francuszczyznę; przyznano jej specjalne stypendium dla najzdolniejszych uczniów... I nagle wszystko się skończyło. Musiała zrezygnować ze stypendium i przerwać naukę. Została w domu, by opiekować się Benem.

To był taki kochany dzieciak...

- No i co z tym ciastem?

Podniosła na ojca półprzymiotne spojrzenie.

- Mówiłeś coś?

- A ty znowu myślisz o niebieskich migdałach? Jak nie trzymasz nosa w książce, to żyjesz z głową w chmurach, dziewczyno!

Słyszała tę śpiewkę już tyle razy, że puściła ją mimo uszu.

- Co mam przynieść?

- Ciasto, Kąty. - Joe ze zniecierpliwieniem trzepnął otwartą dłonią o stół.

Właściwie mogła powiedzieć bratu, żeby wstał i sam przyniósł, ale ponieważ jeszcze nigdy taka uwaga nie przyniosła pożądanego efektu, postanowiła dać sobie spokój. To już tylko parę miesięcy...

Z westchnieniem oznaczającym rezygnację zdjęła z kolan serwetkę, odłożyła ją na stół i odsunęła krzesło.

- Siedź, proszę, ja przyniosę - zaofiarował się Clay, podnosząc się od stołu. Bardzo ją to ujęło.

- Zostaw, chłopcze, Kąty wie lepiej, co gdzie jest - wtrącił Frank.

Kaitlyn z trudem powstrzymała się od przewrócenia oczami. Jasne, trzeba mieć mózg Einsteina, żeby dojść do tego, że ciasto siedzi w piekarniku... Poszła do kuchni.

- Pyszne - pochwalił chwilę potem Clay.

- Kąty dobrze gotuje - przyznał Tom. - To znaczy wtedy, gdy gotuje po ludzku, a nie, jak próbuje nam wcisnąć jakieś pokręcone go...

- Tomasz! - Spiorunowała wzrokiem dwudziestoletniego brata. - Nie wyrażaj się.

Oczywiście, nie miała złudzeń co do tego, jakiego języka jej bracia używają poza domem, ale w swojej obecności nie pozwalała na żadne wulgaryzmy. Szczęśliwie pod tym względem miała pełne poparcie ojca, ponieważ mama też nie tolerowała brzydkich słów.

- No dobra... - mruknął Tom. - Ale kto to słyszał, żeby pchać do drobiu jagody jałowca i coś, co się nazywa Mandarine Napoleon? Co to w ogóle jest?

- Likier mandarynkowy - wyjaśnił nieoczekiwanie Clay. - Kiedyś piłem, dobry. Tom jęknął

- Stary, nie gadaj takich rzeczy, bo tylko ją zachęcisz do dalszych prób.

- A w ostatnie święta chciała nam dać ostrygi - dodał oskarżycielsko Joe. - Próbowaliśmy nam wmówić, że smakują jak wołowina, ale nie daliśmy się nabrać.

- Kiedy to prawda - powiedział Clay. - Smakują jak najlepsza polędwica wołowa.

Kaitlyn łypnęła na niego podejrzliwie. Nie rozumiała, czemu nagle zaczął udawać takiego znawcę. Mocno wątpiła w to, czy w ogóle widział kiedyś ostrygę...

- Na pewno chcesz mieszkać nad garażem? - zainteresował się Tom.
- Lepsze to niż spanie gdzieś w bramie czy zaułku.
- O rany, żyłeś na ulicy? - spytał Joe z nagłym błyskiem w oku. Miał nieposkromiony głód przygód i był jedyną osobą, która w pełni rozumiała potrzebę wyrwania się z prowincji, jaką odczuwała też Kaitlyn.

- Robiłem różne rzeczy - odparł wymijająco Clay. - Teraz potrzebuje tylko kawałka dachu nad głową i paru dolców na jedzenie.

- U McCashlina nie będziesz narzekał, ja ci to mówię

- oznajmił z przekonaniem Frank.

Tym razem Kaitlyn przewróciła oczami. Wszyscy w Shelby uważali pracę w tutejszych zakładach elektronicznych za szczyt marzeń, jakby już nic innego na świecie nie było. Pracowała tam od pięciu lat i jej zdaniem było to o pięć lat za długo...

- Odnoszę wrażenie, że ty nie jesteś zachwycona zakładami McCashlina - zauważył Clay, przyglądając się jej uważnie.

- Samo miejsce nie jest złe, to ja do niego nie pasuję

- wyjaśniła, starannie dobierając słowa. - Tata ma rację, ludzie chwala sobie tę pracę, ale ja...

- Nie jestem byle robolem - odpowiedział Tom. - Jej się marzy lepsze życie. Niedługo skończy te swoje studia zaoczne i będzie stąd wiać tak, że tylko będzie się za nią kurzyło.

- Czy wiesz już, dokąd chciałabyś jechać? - zapytał Clay.

- Do Chicago - odparła, starannie unikając wzroku ojca, ponieważ był to drażliwy temat.

- To wielkie miasto. Będziesz tam całkiem sama... -nieoczekiwanie zatroskał się Clay.

Kaitlyn posłała mu ostrzegawcze spojrzenie. Następny, który zamierzał uświadamiać jej niebezpieczeństwa czyhające w wielkim mieście na samotną młodą kobietę! Miała tego powyżej uszu.

- Poradzę sobie - oznajmiła twardo, ucinając w ten sposób dalszą dyskusję.

Nic nie było w stanie jej powstrzymać przed rozpoczęciem nowego życia. Już nie mogła się doczekać.

ROZDZIAŁ DRUGI

Clay potrzebował zaledwie paru minut, żeby się rozpakować. W jednej szufladzie komody zmieściły się dzinsy i koszulki, w drugiej cała reszta jego skromnego bagażu. Zanim wyjechał z Chicago do Shelby, kupił sobie ubrania w sklepie z używaną odzieżą. Nie mógł uwierzyć, że można tak mało zapłacić za spodnie.

Gdyby znajomi mogli mnie teraz zobaczyć...

Matka od małego ubierała go wyłącznie w markowe rzeczy, chociaż ojciec uważał, że to dziwactwo. Ale czego innego można było się spodziewać po człowieku, który wciąż jeździł rozklekotanym szewroletem i strzygł się u najtańszego fryzjera? Clay bardzo wcześnie zrozumiał, że jego ojciec dzieli rzeczy na ważne i nieważne i tym drugim nie poświęca najmniejszej uwagi.

Wcześnie też zrozumiał, że ma małe szanse, by zadowolić ojca.

Zdarzyło się to zaledwie parę razy w jego dwudziestopięcioletnim życiu, więc pamiętał każdy raz, a zwłaszcza ten pierwszy. Zaprosił na swoje dziesiąte urodziny kolegę, którego ojciec był zamieszany w głośną aferę finansową. Matka mówiła, że odium spada również na całą rodzinę aferzysty i że lepiej byłoby kolegi nie zapraszać, ale Clay się uparł. Rodzina rodziną, afera afera, a Marshall był jego przyjacielem i koniec. Po przyjęciu urodzinowym ojciec wziął go na bok i powiedział, że jest z niego dumny. Ucieszyło go to i zakłopotало jednocześnie, bo nie do końca rozumiał, co tacie tak się spodobało. I tak było już zawsze: nie potrafił pojąć, o co ojcu właściwie chodzi. Wszystkie jego znakomite osiągnięcia w najbardziej prestiżowych szkołach i uczelniach nie wywarły na ojcu najmniejszego wrażenia. Gdy Clay zdobył dyplom doktora praw, ojca zainteresowało tylko, ile czasu syn planuje poświęcać na pracę dla dobra publicznego jako obrońca z urzędu. Można było pomyśleć, że pieniądze w ogóle się dla niego nie liczą!

Jednak Andrew McCashlin znał siłę pieniędzy, ale nie miały one nad nim żadnej władzy. To on obracał nimi, a nie one nim. Nie miał jeszcze dwudziestu lat, gdy zaczął inwestować na giełdzie, a robił to z tak niesamowitym wyczuciem, że pierwszy milion zarobił jeszcze przed trzydziestką. Założył McCashlin Enterprises, firmę, która przynosiła wielomilionowe dochody. Bardzo dbał o nią i mogło się nawet wydawać, że aż nazbyt pedantycznie starał się wszystko kontrolować.

Rzecz w tym, że zawsze dobrze na tym wychodził.

To właśnie ojca zaniepokoiły straty w zakładach w stanie Iowa, w małym miasteczku Shelby. Ich wielkość mieściła się w przyjętej normie, tym niemniej Andrew McCashlin miał pewne wątpliwości. Nie pozbył się ich nawet wówczas, gdy niezależna firma audytorska zbadała sprawę i uznała, że wszystko jest w porządku.

Clay zaproponował, że przeprowadzi śledztwo incognito, i ku jego zdumieniu ojciec poparł ten zwariowany plan z dużym entuzjazmem. Dlatego Clay siedział teraz w klitce nad garażem, gdzie o klimatyzacji można było tylko pomarzyć. Włączył wentylator, ale to też niewiele dało. Nie miał pojęcia, jak zaśnie w takim upale. Poszedł wziąć chłodny prysznic, ale to pomogło tylko na chwilę. Gdy wrócił do siebie, od razu ściągnął dzinsy. Materiał zdawał się aż parzyć. Nie miał pojęcia, że dzinsy mogą być takie ciężkie. I że tak w nich gorąco... Zajrzał do lodówki. Frank był naprawdę wspaniałomyślny, ponieważ hojnie ją zaopatrzył. Znalazło się też parę puszek taniego piwa. Nie było to co prawda ulubione piwo Claya z importu, ale trudno. Otworzył i spróbował bez przekonania. Zimne! Fantastyczne! Nagle rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi, jakby ktoś się niecierpliwił. Clay otworzył i uśmiechnął się.

- Stęskniłaś się za mną?

- Jasne. - Kaitlyn szybko weszła do środka, niosąc oburącz wielkie kartonowe pudło, które z lekkim sapnięciem postawiła na najbliższym krześle. Otrzepała ręce. - No, teraz to już wszystko.

- Co tam jest?

- Talerze, kubki, sztucce i inne takie... - Spojrzała na niego i nagle wyraz jej twarzy uległ radykalnej zmianie. Wyglądała na zaszokowaną.

- Zawsze otwierasz drzwi rozebrany?

Zawsze otwiera je służba, pomyślał, ale nim to powiedział, szczęśliwie zdażył ugryźć się w język. Czy ona aby nie przesadzała? Zgoda, bokserki nie są odpowiednim strojem do przyjmowania wizyt, ale przecież na nartach wodnych pływał bardziej skąpo ubrany.

- Zdjąłem koszulę, bo drażniła mnie w tym upale. Ale mogę ją włożyć, jeśli chcesz.

Kaitlyn spojrzała na muskularny tors mężczyzny. Biel bandaża odcinała się wyraźnie od opalonej skóry.

- Nie, nie trzeba. - Otarła pot, który nagle wystąpił jej na czoło. - Bez koszuli na pewno przyjemniej.

- Prawie jak w rajku.

- Mam nadzieję, że w rajku będzie chłodniej... - Nie wiedziała, czemu tak się dzieje, ale zdawało jej się, że z każdą chwilą robi się coraz goręcej. - To ja już pójdę. Dobranoc.

Odwróciła się, ale Clay nieoczekiwanie złapał ją za rękę.

- Nie idź, posiedź trochę ze mną. Zawahała się.

- Głupio się czuję. Wpadłaś tylko na moment i w dodatku po to, żeby mi coś przynieść. Usiądź, napijemy się piwa, jest zimne i pyszne. I tak ustawię wentylator, że będzie leciało akurat na ciebie. Co ty na to? Kąci jej ust zadrgały leciutko.

- Czy wiesz, że byłbyś świetnym sprzedawcą używanych samochodów?

- Rozumiem, że się zgadzasz? - ucieszył się i zapraszającym gestem wskazał kanapę.

- Ale tylko na parę minut - zastrzegła. Clay zgodnie z obietnicą przestawił wentylator i przyniósł z lodówki oszronioną puszkę.

- Obawiam się, że nie mam szklanek.

- Są w tym pudle, ale mogę napić się z puszki. Najważniejsze, żeby było zimne. - Pociągnęła długi łyk, a na jej twarzy pojawił się błogi uśmiech. - Tak, to jest dokładnie to, czego potrzebowałam...

- Jak widać, warto przyjść w gości do Claya Reynoldsa. Wymienili rozbawione spojrzenia.

- A tak w ogóle, to dzięki, że mi pomogłeś przy zmywaniu.

- Przynajmniej w ten sposób mogłem się odwdziżyć za wspaniałą kolację.

Trochę się wtedy bał, że zrobi coś głupiego, przecież w życiu nie zmywał naczyń, ale na szczęście musiał tylko wycierać. W dodatku niezwykle miło się im rozmawiało. Kaitlyn okazała się osobą o dużym poczuciu humoru, bardzo odczytaną i świetnie zorientowaną w bieżących wydarzeniach. A nade wszystko z wielkim apetytem na życie. Gdy powiedziała mu o swoich planach, omal nie wybuchnął śmiechem. Projektantka mody z jakiejś zapadłej dziury w rolniczym stanie? Ale im dłużej na ten temat mówiła, tym lepiej rozumiał, że ona naprawdę wie, czego chce i na co ją stać. Musiał przyznać, że miała w sobie niesamowitą siłę. I na pewno miała swój styl. No i klasę...

Clay sięgnął po swoje piwo i z uśmiechem przyjrzał się gościowi.

Kaitlyn wyglądała teraz nawet ładniej niż przedtem. Miała na sobie dzianinową sukienkę bez rękawów, która miękko przylegała do figury. Niewiele kobiet wyglądałoby dobrze w tak ostrym odcieniu cytrynowej zieleni, ale do włosów Kaitlyn ten kolor pasował znakomicie. Było mu przyjemnie, że przebrała się dla niego, ale szybko otrzeźwiła go myśl, że taka dziewczyna na pewno już kogoś ma.

- Wychodzisz gdzieś? - spytał. Roześmiała się.

- Jest dziesiąta. Jeśli gdzieś idę o tej porze, to tylko do łóżka.

Przed oczami przemknęła mu wizja miedzianych włosów rozsypanych na poduszce, ale odegnał ją zdecydowanie. Prawie się nie znali, a jego nigdy nie pociągały przelotne związki. Zresztą, przyjechał tu prowadzić śledztwo, a nie nawiązywać znajomości.

- Czyli nie masz żadnych planów na dzisiejszy wieczór?

- Jutro jest normalny dzień pracy. Zaspałabym, gdybym wybrała się gdzieś o tej porze.

- Pytałem, bo bardzo ładnie wyglądasz. - Znowu przesunął wzrokiem po jej figurze.

Ta obcisła sukienka była świetna. Przedtem Kaitlyn wydawała mu się raczej chuda, teraz widział, że jest wiotka, a to ogromna różnica. I te nogi, które zdawały się nie mieć końca...

- Naprawdę?

- Tak. Bardzo ci do twarzy w tym kolorze.

Widział, że komplement sprawił jej przyjemność. Pochylił się, żeby odstawić piwo na stolik i nagle przeszył go gwałtowny ból. Puszka wypadła mu z ręki i potoczyła na podłogę.

- Coś ci się stało? - usłyszał zaniepokojony głos Kaitlyn. Zacisnął zęby, starając się opanować.

- Nie, po prostu niezdarą ze mnie.

- Czekaj, pomogę ci. - Dziewczyna zerwała się z miejsca, wyciągnęła z pudła papierowy ręcznik i wytarła piwo ze stolika.

- Daj, ja to zrobię - zaprotestował, wstając.

- Nie, ja.

Przykucnęli jednocześnie i sięgnęli po puszkę. Dłoń Claya przykryła rękę Kaitlyn.

Jej skóra była chłodna, lecz nie wiedzieć czemu, zdawała się go parzyć. Gwałtownie podniósł głowę i spojrzał na dziewczynę. Na jej policzkach wykwitły rumieńce.

- Kąty?

- Kaitlyn - poprawiła go zduszonym głosem, wyprostowała się i odstawiła puszkę na stół.

Stanął przed nią, nie spuszczając z niej uważnego spojrzenia.

- Dziękuję.

- Drobiazg. - Zaśmiała się nieco nerwowo.

- Nie o tym myślałem.

- A o czym?

- O wszystkim, co dzisiaj dla mnie zrobiłaś. Pomogłaś mi. Dotrzymałaś mi towarzystwa.

Co ja bym bez ciebie zrobił, dodał w myślach. Sam by siebie tak nie opatrzył, jak ona to zrobiła. I na pewno nie upichciłby sobie takiej wspaniałej kolacji. Gdyby nie Kaitlyn, byłby skazany na jakieś nędzne hamburgery. Przygotowała mu też pokój, przyniosła potrzebne rzeczy... Czy on zrobiłby tyle dla zupełnie obcego człowieka? Poważnie w to wątpił. A ona zrobiła. Tym bardziej był jej wdzięczny.

Ale gdy tak patrzył w jej urokliwe zielone oczy, odezwało się w nim coś więcej prócz wdzięczności. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, ujął ją za rękę i pociągnął za sobą na kanapę. Dopiero teraz poczuł napływający przez okno zapach jaśminu.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - zauważyła cicho Kaitlyn, ale nie protestowała.

- Ja też nie wiem. - Delikatnie odsunął z jej policzka zabłąkane rude pasmo. - Ale wszystko mi jedno.

Zielone oczy dziewczyny świeciły jak szmaragdy, a usta kusily jak świeże truskawki.

Pochylił głowę i pocałował ją lekko. Nie smakowała truskawkami, tylko świeżą miętą. Ale to był dopiero zaledwie przedsmak.

Pocałował ją ponownie, tym razem dłużej, dużo dłużej, a Kaitlyn nie wzbraniała się, przeciwnie, odpowiedziała mu z równym zaangażowaniem i już po krótkiej, bardzo krótkiej chwili nie dałoby się nazwać tego pocałunku niewinnym.

Clay przyciągnął ją do siebie, wsunął jedną dłoń w jej włosy, a drugą zacisnął na jej piersi. Zanim się zorientował, już leżeli na kanapie. Był oszołomiony jej bliskością, półprzytomny. Pragnął jej. Teraz. Zaraz. Natychmiast.

- Och, Kąty, tak cię pragnę.

W jednej chwili odwróciła głowę, oparła ręce na jego nagiej piersi i odepchnęła go od siebie. Puścił ją prawie natychmiast.

Wstała, wygładziła sukienkę i odsunęła włosy z zarumienionej twarzy.

- Zrobiło się późno. Lepiej już pójść.

- Zostań jeszcze trochę. Obiecuję, że będę grzeczny. - Podniósł ręce, jakby się poddawał.

- Dobranoc. - Posłała mu uśmiech i już jej nie było.

Wypadła na zewnętrzny podest, sfrunęła ze schodów i zatrzymała się dopiero na dole. Oparła się o ścianę garażu, oddychając ciężko. Czuła, jak oblewają ją fale gorąca. Jeszcze nigdy nie zdarzyło jej się nic podobnego. Ścisnąć się na kanapie z facetem, którego dopiero co spotkała? Szczyt wszystkiego!

Owszem, trzeba przyznać, że był wyjątkowo atrakcyjny i naprawdę miły, i świetnie całował, ale przecież i tak nie była nim zainteresowana. Dokładnie za sześćdziesiąt pięć dni zaczynała nowe życie i nie życzyła sobie żadnych komplikacji. Nawet wyjątkowo atrakcyjnych.

Zwłaszcza wyjątkowo atrakcyjnych.

ROZDZIAŁ TRZECI

Clay przystanął przed drzwiami działu kadr i odruchowo sięgnął do kołnierzyka, żeby poprawić krawat. Oczywiście, nie miał go. Tu nosiło się bawełniane, koszulki i dżinsy.

- Pan do kogo?

Odwrócił się. Jakby na przekór swoim przekonaniom co do tutejszych kanonów mody, ujrzał przed sobą mężczyznę w nienagannie skrojonym popielatym garniturze i w krawacie od jednego z najsłynniejszych projektantów.

- Szuka pan czegoś? Albo kogoś? Ktoś inny może poczułby się w tym momencie speszony, ale nie Clay. Uśmiechnął się swobodnie.

- Ja w sprawie pracy.

- Dobrze pan trafił, dział kadr znajduje się właśnie tutaj.

- Świetnie - odparł Clay, próbując sobie przypomnieć, skąd zna twarz swojego rozmówcy.

Nieznajomego też musiała dręczyć podobna myśl, ponieważ zamiast pójść dalej, chwilę przyglądał się Clayowi z namysłem, a potem spytał:

- Przepraszam, czy przypadkiem nie spotkaliśmy się już kiedyś?

I nagle Clay przypomniał sobie. Nie dość, że się spotkali, to jeszcze miało to miejsce w gabinecie jego ojca. Na szczęście było to raz, krótko i dość dawno, jakieś trzy lata temu.

- Nie wydaje mi się - odparł, myśląc z ulgą, że raczej trudno go rozpoznać w znoszonym ubraniu i długowłosej fryzurze. - Nie jestem stąd, przyjechałem do Shelby w zeszłym tygodniu.

- Ja też nie jestem stąd. - Mężczyzna wyciągnął rękę. - John Carpenter.

John Carpenter, niegdyś wielka gwiazda McCashlin Enterprises.

Budził podziw ewidentnym talentem do interesów i umiejętnością zachowania zimnej krwi nawet w najbardziej stresujących sytuacjach. Mówiono, że gdyby był synem starego McCashlina, już by wszystkim rządził.

Swego czasu Clay czuł do niego głęboką niechęć. Ojciec popierał Johna we wszystkich jego posunięciach, podczas gdy własny syn wydawał się go wyłącznie irytować. Kiedy Clay poznał w końcu pupila ojca, ich krótkie spotkanie przebiegło w bardzo burzliwej atmosferze. Clay był wściekły, że ojciec znów potakuje Carpenterowi, a jego wcale nie słucha.

Potem było mu głupio, bo ostatecznie okazało się, że ojciec miał rację, zatrzymując w centrali Johna, a jego wysyłając do pracy w paryskiej filii. Dzięki temu wiele się nauczył, wypracował własny styl

zarządzania i przestał być tylko synem szefa.

Kiedy przed rokiem wrócił z Paryża, dowiedział się ze zdumieniem, że John przestał pracować w centrali firmy. To było dziwne, a jeszcze dziwniejszy wydawał się fakt, że ojciec ani słowem nie wspomniał o przeniesieniu Carpentera do Shelby.

- Przedtem mieszkałem w Chicago - ciągnął John. -Może tam się spotkaliśmy?

- W Chicago? Nie.

- To dziwne, przysiągłbym, że skądś się znamy. - John zmarszczył brwi. - Wie pan, ja mam dobrą pamięć do twarzy.

- Podobno każdy ma gdzieś na świecie sobowtóra -podsunał Clay. - Może pan spotkał mojego?

- Może. No nic, życzę szczęścia w staraniach o pracę, panie...

- Reynolds. Clay Reynolds.

- Clay Reynolds... - powtórzył w zamyśleniu John. -Nie, rzeczywiście, nigdy nie spotkałem się z takim nazwiskiem. Cóż...

- Dziękuję. - Lori Loveland oddała Clayowi dokumenty, dotykając przy tym jego dłoni ciut dłużej, niż to było konieczne. - Nie powinnam tego mówić, ale w rzeczywistości prezentuje się pan daleko lepiej niż na zdjęciu.

Siedząca przy sąsiednim biurku Kaitlyn stłumiła jęk. Tego było już za dużo, nawet jak na Lori. Jej przyjaciółka i współpracownica praktycznie narzuciła się Clayowi z pomocą przy wypełnianiu formularzy, przestawiła swoje krzesło na jego stronę biurka i brakowało zaledwie milimetrów, by wręcz usiadła mu na kolanach. A jemu to wcale nie przeszkadzało. Śmiał się tak swobodnie, jakby znali się z Lori od lat i jakby podobała mu się tak samo jak on jej. Kaitlyn zerknęła na nich ukradkiem i serce jej się ścisnęło. Lorelei Loveland miała platynowe włosy, ogromne niebieskie oczy i figurę, na widok której męski trup słał się gęsto. Marzenie wszystkich facetów świata, co tu kryć. Joe mówił, że sam dźwięk jej imienia wywoływał myśli o gorącej letniej nocy.

Czy to Lori będzie dotrzymywać Clayowi towarzystwa dzisiejszego wieczoru? Czy to z nią usiądzie na kanapie i będzie patrzył na nią takim wzrokiem, jakby była najpiękniejszą kobietą na świecie? Czy to z nią...?

Kaitlyn odsunęła od siebie niepokojące obrazy, jakie podsuwała jej wyobraźnia. Wyprostowała się na krześle. Nic ją nie obchodziło, co dzieje się między Clayem a Lori. Nic a nic.

A jednak...

Znowu zerknęła w ich stronę znad komputera. W tym momencie Clay odwrócił się i ich spojrzenia spotkały się.

W jego oczach pojawił się jakiś błysk.

Coś ścisnęło ją w gardle.

Posłał jej piękny uśmiech.

Serce zabiło jej szybciej.

Trzasnęły drzwi.

Kaitlyn pospiesznie odwróciła wzrok, a jej oddech wrócił do normy.

- Witam panie! - John Carpenter wparował do biura z właściwą sobie bezceremonialnością.

Kaitlyn uśmiechnęła się do niego ciepło. Wiedziała, że jego pewność siebie jest w dużej mierze udawana. W rzeczywistości John wcale nie był takim twardzielem, za jakiego próbował uchodzić.

- Co ty tu robisz? Nie powiesz mi chyba, że potrzebujesz tego sprawozdania natychmiast?

- Nic z tych rzeczy. - John podszedł, oparł się o jej biurko i obdarzył ją uwodzicielskim uśmiechem. - Chciałem tylko jeszcze raz podziękować za sobotni wieczór.

- Rzeczywiście, było miło - zgodziła się.

W ostatnią sobotę John zaprosił ją do kina. Spędzili czas bardzo sympatycznie, a na pożegnanie Kaitlyn dała się pocałować. To też było miłe, ale bez żadnych fajerwerków. Nie to co z...

Poczuła na policzkach falę ciepła.

- Masz wypieki. Źle się czujesz? - zaniepokoił się John. Kaitlyn zauważyła, że tamci dwoje przestali rozmawiać i przyglądają się jej z nieklamany zainteresowaniem.

- Nie, nic mi nie jest. - Natychmiast przywołała uśmiech na twarz. - Jestem tylko trochę zmęczona.

- Mam nadzieję, że nie aż tak bardzo, byś nie mogła pójść ze mną na lunch. Paul nie może wziąć udziału w zebraniu i ja mam go zastąpić.

- Ale co to ma wspólnego z lunchem i ze mną?

- Paul prosił, żebyś też przyszała, możesz okazać się potrzebna.

Pomyślałem, że potem pójdziemy razem do bufetu, pogadamy.

Kaitlyn zawahała się przez moment.

- Niezły pomysł - odparła w końcu.

- Zebranie? - Roześmiał się John. - Fatalny pomysł, same nudy, tylko dzięki twojej obecności da się to jakoś znieść. Zaczyna się o jedenastej, więc już za kilkanaście minut. Możesz teraz wyjść?

- Tak. - Kaitlyn sięgnęła do szafki po torebkę. - Jesteś pewien, że sprawozdanie może poczekać?

- Absolutnie - przytaknął zdecydowanie z uwodzicielskim uśmiechem.

Cały czas czuła na sobie spojrzenie Claya. Wyszła z Johnem, ale jej myśli pozostały przy mężczyźnie, któremu przy uśmiechu śmiały się również oczy i który całował tak, że krew zaczynała tańczyć w żyłach.

Zebranie na szczęście nie trwało długo. Gdy się skończyło, Kaitlyn i John poszli razem do bufetu. Chociaż z Johnem rozmawiało się naprawdę miło, podczas deseru Kaitlyn popadła w głęboką zadumę.

- Wyglądasz, jakbyś przebywała myślami daleko stąd

- zauważył.

Oderwała nieprzytomne spojrzenie od gablotki ze zdjęciami i uśmiechnęła się do niego.

- Skądże. Jestem tutaj.

- Mam wrażenie, że wolałabyś znajdować się zupełnie gdzie indziej.

- Bo gdzie indziej lepiej karmią - odparła dyplomatycznie, odsuwając na bok talerzyk z zakalcowatą szarlotką.

- Nie mówię o bufecie. Myślałem o innym mieście.

- Nie mam nic przeciw Shelby, tyle tylko, że jest strasznie małe.

- Przyznam, że sam miałem spore obawy, przenosząc się tutaj. -

Wsypał kolejną łyżeczkę cukru do czarnej jak smoła kawy. - Ale miło się rozczarowałem.

- Jak to możliwe, że tak myślisz? Właśnie ty, który...

- Kaitlyn była tak zdumiona, że zapomniała o dyplomacji.

- Przyjeżdżasz, żeby zostać dyrektorem generalnym, a tu nagle Paul oznajmia, że wycofuje rezygnację i zostaje do końca roku. Teraz mówi, że w styczniu też nie odejdzie. Nie wiem, czy to taka przyjemna sytuacja.

- W końcu się doczekam - powiedział John z przekonaniem. - Na razie miło spędzam czas, wszyscy są dla mnie bardzo sympatyczni.

- Poczekaj, aż uznają cię za swego i zaczną wtykać nos w twoje życie. Tu nic nie uchowa się w sekrecie.

- Skoro już mówimy o sekretach... - zagadnął niby od niechcienia. - Dlaczego nie powiedziałaś, że ktoś obcy mieszka u ciebie?

- Nie u mnie, tylko w nadbudówce nad garażem - wyjaśniła. - Ojciec go zaprosił, bo miał wyrzuty sumienia po tym, jak...

- Wjechał mu w motocykl. Słyszałem. Kaitlyn zirytowała się.

- Skoro wiesz, to po co pytasz? - rzuciła nieco podniesionym głosem. Kilka siedzących nieopodal osób z zaciekawieniem obróciło głowy w ich stronę. No tak. Za godzinę wszyscy będą gadać o tym, że publicznie robi sceny Carpenterowi. Ponieważ nie chciała do tego dopuścić, nie cofnęła ręki, którą John uspokajająco przykrył dłonią.

- Nie miałem zamiaru cię zdenerwować - powiedział cicho.

- Tu wszyscy muszą wszystko wiedzieć, nie znoszę tego. Zresztą, nie widzę nic ciekawego w fakcie, że Clay Reynolds wynajął od ojca kawałek podłogi.

- Clay Reynolds? - Tym razem to John nieco podniósł głos. - To on u was mieszka? Skinęła głową.

- A co? Znasz go?

- Nie wiem. Spotkałem go dziś rano na korytarzu. Ale chyba nie pierwszy raz w życiu.

Kaitlyn uniosła brwi.

- Naprawdę?

- On utrzymuje, że się nie znamy. Ale ja sobie przypomnę.

- Zanim zdążysz sobie przypomnieć, jego już tu nie będzie. Mam wrażenie, że dużo podróżuje. Wcale się nie zdziwię, jak wyjedzie z Shelby jeszcze przede mną.

John zajął jej głęboko w oczy.

- Nadal jesteś pewna, że chcesz wyjechać pod koniec lata?

Rozpromieniła się na samą myśl.

- Ostatni egzamin, dyplom, i już mnie nie ma. Nic mnie tu nie trzyma.

- Och, wszystko może się jeszcze zmienić. Na przykład możesz się zakochać.

Kaitlyn tylko się uśmiechnęła. John nie znał jej na tyle dobrze, by wiedzieć, że miłość to za mało, żeby powstrzymać ją przed realizacją marzeń.

- Skoro mowa o miłości... Zobacz, kto przyszedł - John wskazał na drzwi.

Odwróciła się i aż zabrakło jej tchu. Leri stała z Clayem przy kasie, trzymając go pod rękę i patrząc na niego tak, jakby był jedynym facetem na świecie.

Kaitlyn poczuła, że zamiast kurczaka, którego właśnie zjadła, ma w żołądku supeł.

- Może ich zaprosimy do naszego stolika? - zaproponował John.

- Czemu nie? - zgodziła się z wymuszonym uśmiechem i zamachała ręką do przyjaciółki.

Oczywiście, nic jej do tego, że Leri podrywa Claya. Zupełnie nic. Tak jest nawet lepiej. Przynajmniej będzie miała go z głowy. Niezależnie bowiem od tego, jak bardzo jej się podobał, Kaitlyn z całą pewnością wiedziała jedno: przystojny facet to stanowczo nie to, czego teraz potrzebowała.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Clay odprowadził Lori do biura i postanowił wrócić do siebie okreśną drogą. Chciał się przejść przez park miejski. To był dość długi spacer i trochę zaczynało boleć go w boku od chodzenia, ale i tak z jego twarzy nie zniknął uśmiech. Udał mu się dzień.

Powodowany nagłym impulsem przysiadł na podniszczonym drewnianym stole pod drzewem i wybrał numer komórki ojca.

- Drew McCashlin.

- Tato, tu Clay.

- Dobrze, że dzwonisz. Co wykryłeś? Clay zaśmiał się sam do siebie. Ojcu nawet nie przyszło do głowy, żeby zapytać, jaką miał podróż i gdzie mieszka.

- Na razie niewiele. - Obok przechodziła jakaś para z wózkiem i Clay zniżył głos. - Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że dostałem pracę w zakładach. Zaczynam jutro. Pracuję w magazynie od piętnastej do dwudziestej trzeciej.

- Na drugą zmianę? - zdumiał się ojciec. - Przecież to zupełnie bez sensu.

- Przeciwnie - zaproponował Clay. - Właśnie to mi da swobodę ruchów, będę miał więcej możliwości, żeby się rozejrzeć.

- Jak to zrobisz? Przecież biura będą już pozamykane.

- Nawiązałem dobre stosunki z kimś, kto w razie potrzeby może mi ułatwić dostęp do papierów. - W myślach mignęła mu twarz Lori.

- Widzę, że pomyślałeś o wszystkim - przyznał z lekkim ociąganiem ojciec. - Spotkałeś już Paula?

- Jeszcze nie, ale wpadłem na Johna Carpentera. Co on tu właściwie robi?

- W zeszłym roku powiedział mi, że ma dość tego wyścigu szczurów i wolałby wycofać się w jakieś spokojniejsze miejsce, najchętniej na głęboką prowincję. Zaskoczył mnie tym kompletnie, ale ponieważ Paul wybierał się na emeryturę, wysłałem Johna, aby zajął jego miejsce. Tymczasem Paul zdecydował, że jeszcze trochę popracuje. Nie mogłem naciskać, żeby trzymał się pierwotnej decyzji, jest w firmie od dwudziestu lat, wiele dla niej zrobił.

- Tak więc John właściwie nie ma tu nic do roboty?

- Zapewniam cię, że nie czeka biernie na rozwój wydarzeń. - W głosie ojca zabrzmiała irytacja. - John nie ma zwyczaju objąć się. Jestem zadowolony z tego, co robi.

Claya wcale nie zdziwiło, że ojciec broni Carpentera. Postanowił więc nie ciągnąć tematu.

- Jedna z urzędniczek zdaje się całkiem nieźle orientować w tym, co dzieje się na terenie zakładów. Myślę, że uda mi się pociągnąć ją za język.

Andrew McCashlin raczej stwierdził, niż spytał:

- Rozumiem, że jest tobą zainteresowana. Clay pomyślał o zachowaniu Lori.

- Też tak to rozumiem.

W chicagowskim biurze zadzwonił telefon i ojciec rozłączył się. Clay schował komórkę do kieszeni. Nawet nie miał szansy, by wspomnieć o Kaitlyn. Ale właściwie, co mógł powiedzieć? Że ta dziewczyna ma cudowne zielone oczy i całuje tak, że krew zaczyna tańczyć w żyłach? Gdyby tylko spróbował powiedzieć coś podobnego, ojciec przypomniałby mu twardo, że pojechał do Shelby dla dobra firmy i że wszystko, co nie służy temu celowi, jest całkowicie nie na miejscu. Kaitlyn odchyliła się na oparcie krzesła. Po co odebrała ten telefon? Przecież już skończyła pracę i miała właśnie wyjść. Automatyczna sekretarka była włączona, więc można było odsłuchać wiadomość następnego dnia. Dzięki temu do jutra byłby święty spokój, problem pojawiłby się dopiero rano.

Co ona miała teraz zrobić? Jej przyjaciółka była pod takim urokiem Claya Reynoldsa i tak bardzo jej zależało, żeby ten przystojniak jak najszybciej zaczął tu pracować, że przyspieszyła procedurę. Nie sprawdziła szczegółowo wszystkich referencji, co było jej obowiązkiem przy zatrudnianiu każdego nowego pracownika.

Kaitlyn wcale nie obwiniła Lori. Wiedziała, że wystarczy jedno spojrzenie w te fantastyczne oczy, żeby zacząć postępować wbrew swoim zasadom.

Tak więc Lori przyjęła go do pracy praktycznie na piękne oczy, po czym beztrudnie wzięła wolne popołudnie, żeby pójść po zakupy, zwalając na Kaitlyn całą robotę. Oczywiście, nie zrobiła tego celowo. Tak naprawdę Kaitlyn sama wzięła na siebie trud sprawdzenia referencji Claya, ponieważ sumienność nie pozwalała jej tego tak zostawić.

Nie mogła uwierzyć, że Clay dopuścił się oszustwa.

A jednak. Ostatnia osoba, która zatrudniała Claya Reynoldsa, nie była dostępna, gdy Kaitlyn próbowała się z nią skontaktować, ale oddzwoniła po jakimś czasie i to był ten nieszczęsny telefon.

Rozmówczyni okazała się nadzwyczaj gadatliwa. Wychwalała pana Reynoldsa pod niebiosa, rozwodząc się nad jego znajomością ogrodnictwa, pracowitością i rzetelnością. Gdyby na tym poprzestała, nic by się nie wydało. Kobieta dodała jednak, że pan Reynolds odszedł do McCashlinów.

Kaitlyn natychmiast zrozumiała, że coś jest nie tak. Clay nie podał w papierach, że kiedykolwiek pracował dla właściciela tutejszych zakładów. Wiedziała, że musi podążyć tym tropem. Uzyskała numer do rezydencji państwa McCashlinów, gdzie dowiedziała się, że ogrodnik Reynolds nadal tam pracuje.

Z westchnieniem odłożyła słuchawkę. Clay zaczynał pracę następnego dnia po południu. Miała niecałą dobę na uporanie się z tym bałaganem.

Właśnie postawiła na stole talerz z kotletami i półmisek ziemniaków, gdy Clay niespiesznie wszedł do kuchni, zajął miejsce obok Joego i uśmiechnął się do Kaitlyn. Udała, że jest zajęta mieszaniem sosu. Przełała go do sosjerki, zaniósła na stół i usiadła między braćmi.

- Lori wspomniała mi, że od jutra przychodzisz na drugą zmianę - rzuciła niby od niechcienia, kładąc serwetkę na kolanach. -

Oczywiście, o ile twoje referencje zostaną potwierdzone.

- Pewnie, że zostaną potwierdzone - odparł z niezachwianą pewnością siebie.

Co za tupet! Przecież miała dowody, że kłamał.

- A powiedziała ci, co będę robił? Pracuję przy załadunku.

- Tylko pamiętaj, żadnego picia w robocie - ostrzegł Tom, nakładając sobie jedzenie. - Stary Fred wyleciał za to z wielkim hukiem.

- Będę pamiętać.

Rozmowa toczyła się wokół spraw związanych ze wspólnym miejscem pracy. Kaitlyn milczała, ponieważ nie obchodziło jej, że maszyna numer pięć wciąż nie działa, ani że mechanik Lloyd umówił się w końcu na randkę z kontrolerką Mary Lou. Chciała wiedzieć tylko jedno: dlaczego Clay skłamał.

- Skoro już rozmawiamy o randkach... - Frank zerknął na córkę. - Słyszałem, że byłaś na lunchu z Johnem. No, no, dwie randki w jednym tygodniu. Poważna sprawa.

- Ani się obejrzymy, jak zaprosi go do nas na niedzielny obiad - przekomarzał się Joe.

Kaitlyn próbowała poskromić brata wzrokiem. Widziała kątem oka, że Clay przygląda się jej z dziwnym wyrazem twarzy.

- Po prostu byłam z Johnem na zebraniu, a potem poszliśmy razem na lunch do bufetu, to wszystko. W dodatku siedzieliśmy we czwórkę, z Lori i Clayem.

- Z Lori Loveland? - zdumiał się Joe, odrywając się od jedzenia.

Gdy Clay skinął głową, Tom gwizdnął przeciągle i popatrzył na niego z niekłamanym podziwem.

- Szybki jesteś. Pierwszego dnia zarwałeś najbardziej seksownego kodaka w mieście.

Clay tylko się uśmiechnął.

- Nie przesadzaj, wcale jej nie „zarwałem”. Zjedliśmy razem lunch, i

tyle.

- Najwyraźniej spodobałeś się jej - upierał się Tom. - I musisz przyznać, że jest seksowna.

- Jest ładna. I bardzo sympatyczna. - To rzekłszy, Clay rzucił szybkie spojrzenie na Kaitlyn.

- Nie musisz aż tak uważać na to, co mówisz - powiedziała. - Nikt z nas nic jej nie powtórzy. Mamy zasadę - cokolwiek zostanie powiedziane w tym domu, nie wychodzi poza jego mury.

Frank z powagą kiwnął głową.

- Za to w pracy uważaj, co mówisz i do kogo.

- I pamiętaj, że Lori przyjaźni się z samym szefem, z panem Novakiem.

- Bardzo się przyjaźni? - zainteresował się nagle Clay.

Na tyle, mam nadzieję, że Paul Novak nie wyleje jej z roboty, gdy wyda się, że obeszła przepisy i zatrudniła oszusta...

- Spotykali się przez jakiś czas - wyjaśniła Kaitlyn. - Teraz chyba już nie, ale nadal są w dobrych stosunkach.

- Dlatego najlepiej trzymaj język za zębami - doradził Tom. - No, chyba że będziesz ją całował...

- Tomasz! - Kaitlyn spiorunowała go wzrokiem.

- Daj spokój, Kąty. Kto byłby święty przy takim kociaku?

- To nie żaden kociak, tylko kobieta - zganiała go, wyrzucając sobie, że nie zareagowała za pierwszym razem. - I moja przyjaciółka.

- Ty i ta twoja „polityczna poprawność”, - zachnął się Tom. - Przecież nie powiedziałem nic złego, to był komplement.

- Lori to rzeczywiście atrakcyjna dziewczyna, ale na pewno nie jest piękniejsza od twojej siostry - wtrącił nagle Clay.

Tom ryknął śmiechem.

- Piękna? Kąty?

Gończy rumieniec oblał jej policzki. Spuściła wzrok.

- Uważaj, co mówisz, Tom - odezwał się surowo Frank.

- Twoja siostra jest kropka w kropkę podobna do waszej matki, a na całym świecie nie było piękniejszej kobiety od niej, więc...

- Przepraszam - wymruczał Tom. Kaitlyn wstała, odkładając serwetkę.

- Pójdę pozmywać.

- A może odpoczniesz chwilę? - zaproponował Clay.

- Dopiero zrobiłaś obiad na pięć osób. Przejdźmy się na krótki spacer, a potem pomogę ci posprzątać, co ty na to? Jest taki ładny wieczór.

Frank poparł go nieoczekiwanie.

- Świetny pomysł, idźcie. Dzisiaj my z Tomem pozmywamy.

Zdumiony Tom już otwierał usta, żeby powiedzieć, co myśli na ten temat, ale jedno spojrzenie ojca kazało mu zamilknąć.

- Naprawdę? - Kaitlyn zdziwiła się nie mniej niż jej brat. To jeszcze nigdy się nie zdarzyło.

- Naprawdę. A teraz zmykajcie, zanim zmienię zdanie. Kaitlyn

spojrzała na piętrzące się w zlewie garnki i rondle.

- Dzięki, tato.

To była świetna okazja, żeby porozmawiać z Clayem w cztery oczy. Ledwo jednak wyszli za furtkę, odezwała się jego komórka. Clay sprawdził wyświetlony numer, przeprosił Kaitlyn, odebrał i przez chwilę słuchał ze ściągniętymi brwiami.

- Poczekaj chwilę - powiedział do słuchawki i zwrócił się do Kaitlyn: - Słuchaj, strasznie mi przykro, ale nici z naszego spaceru.

Odniosła wrażenie, że w jego głosie brzmiało zdenerwowanie.

- Coś się stało?

- Dzwoni mój ojciec. Moja siostra jest w szpitalu.

- Och, tak mi przykro. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Ja też - uśmiechnął się blado i wrócił do przerwanej rozmowy.

Gdy po powrocie Kaitlyn zajrzała do kuchni, nic nie było uprzątnięte.

- Właśnie mieliśmy się brać za zmywanie - tłumaczył się ojciec, nie ruszając się z za stołu.

Kaitlyn uznała jednak, że obietnica jest obietnicą i tego wieczoru pozmywają panowie. Wzięła gazetę i wyszła na werandę. Miała nadzieję, że Clay niebawem nadejdzie. Zdażyła jednak przeczytać wszystkie artykuły, zrobiło się późno, a Clay nie przychodził. Nie było sensu dłużej czekać.

Właściwie ciągle nie wiedziała, jak rozegrać tę sprawę i co powiedzieć. Na pewno jednak należało to zrobić jak najszybciej.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wdrapała się po stromych schodach prowadzących do nadbudówki, klnąc pod nosem, bo zaciągnęła cieniutkie rajstopy o jakiś zadziór. Stała na podeście przed drzwiami, policzyła do dziesięciu, opanowała oddech i zapukała z determinacją, a gdy nie usłyszała natychmiastowej odpowiedzi, nacisnęła dzwonek.

Dobiegająca ze środka muzyka umilkła i rozległy się kroki. Serce zaczęło bić jej szybciej. Miała ochotę uciec.

Czemu przysłała do niego sama, i to po nocy? Ten człowiek był oszustem, podszywał się pod kogoś innego i kto wie, do czego był zdolny. Już odwracała się na pięcie, gdy Clay otworzył drzwi.

- Kaitlyn, przepraszam, że tak wyszło. Powinienem zajrzeć do ciebie i powiedzieć, co i jak. Moja siostra, Nicole, choruje na astmę i przeszła wyjątkowo ciężki atak. Tata właśnie dzwonił z informacją, że już wszystko w porządku.

- Cieszę się - odparła, czując wyrzuty sumienia, ponieważ przez moment podejrzewała go również o to, że tę siostrę też sobie wymyślił. Zresztą, skąd mogła mieć pewność, że nie? Mógł ją okłamać. - Słuchaj, musimy porozmawiać. To ważne.

- Och, przepraszam, że tak cię trzymam na progu. Wejdz, proszę. - Otworzył drzwi szerzej z takim uśmiechem, że serce podskoczyło Kaitlyn do gardła.

Czy on musiał być taki przystojny?

Kiedyś widziała w telewizji przystojnego seryjnego mordercę. Z trudem odsunęła od siebie tę myśl i weszła do środka.

- I jak ci się mieszka?

- Bardzo fajnie. Doceniam wspaniałomyślność twojego ojca.

- A moja? - spytała, siadając na krześle i zakładając nogę na nogę. Była dumna ze swojego opanowania.

- Pewnie. Jestem wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. - Ulokował się wygodnie na kanapie. - Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować za...

- Nie to miałam na myśli. Chodzi mi o coś zupełnie innego. Nikomu nie powiedziałam, że z twoimi referencjami jest coś nie tak. Jeszcze nie powiedziałam - zaakcentowała słowo „jeszcze”.

Clay zdrętwiał. Jak to możliwe? Ogrodnik ojca miał papiery w idealnym porządku, wszystko zostało dokładnie sprawdzone.

Przywołał na twarz spokojny uśmiech, jakim posługiwał się podczas trudnych negocjacji.

- To jakaś pomyłka.

- Dlaczego skłamałeś? - Kaitlyn pochyliła się ku niemu. - Lori wciągnęła cię na listę płac, nie sprawdzając twoich referencji krok po kroku. Może za to stracić pracę.

W pięknych zielonych oczach widniała absolutna powaga. Na ustach nie było nawet śladu uśmiechu. Albo ta dziewczyna była doskonałą aktorką, albo naprawdę miał spore kłopoty.

- Czy możesz powiedzieć dokładniej, o co ci chodzi?

Nauczył się już dawno, by niczego pochopnie nie zdradzać. Być może pomylił po prostu jakąś datę. To się da łatwo wyjaśnić.

- O to, że nie nazywasz się Clay Reynolds. Prawdziwy Clay Reynolds pracuje w Chicago u Andrew McCashlina.

- Skąd takie przypuszczenie? - spytał, próbując grać na zwłokę.

- Rozmawiałam z niejaką Wilmą Graham, która ma nadzór nad całą służbą w rezydencji McCashlinów.

Clay omal nie jęknął. Gdy wymyślił ten plan, pani Graham była na zwolnieniu lekarskim. Zresztą i tak nie wtajemniczyłby jej w tę sprawę, ponieważ im mniej osób cokolwiek wiedziało, tym lepiej. Do głowy mu nie przyszło, że ktoś będzie się z nią kontaktował, przecież żadna z referencji nie pochodziła od niej.

- Dlaczego w ogóle do niej dzwoniłaś?

- Twoja poprzednia pracodawczyni, a raczej poprzednia pracodawczyni Reynoldsa, była bardzo rozmowna. Wygadała się, do kogo przeszedł. Wpadł. Nie było sensu zaprzeczać. Jedyne, co mógł zrobić, to zminimalizować szkody.

- W porządku, masz rację. - Pochylił się do przodu, splatając dłonie. - Nie nazywam się Clay Reynolds.

Po to właśnie tu przyszła. Żeby go przyprzeć do muru i wydusić z niego to wyznanie. Tym niemniej zaskoczył ją. Tak łatwo się poddawał? Z nagłym niepokojem zerknęła na drzwi. Zdaży do nich dobiec?

- Nie masz się czego obawiać - powiedział tak uspokajająco, jak tylko potrafił. Musiał z nią postępować ostrożnie, ponieważ teraz mogła poważnie zagrozić jego planom. - Mogę wszystko wyjaśnić.

- Słucham.

- Nazywam się Clay Barrett. Pracuję dla McCashlina, ale nie jako ogrodnik.

Użycie panieńskiego nazwiska matki może nie było najlepszym posunięciem, ale nic innego nie przyszło mu do głowy tak szybko. Kaitlyn popatrzyła na niego sceptycznie, krzyżując ramiona na piersi.

- A jako kto?

- Powiem ci pod warunkiem, że zachowasz to w zupełnej tajemnicy.

- Powiesz mi, a ja się zastanowię, co zrobię z tą informacją.

Zawahał się. Dałby głowę, że Kaitlyn jest w porządku i nie ma nic

wspólnego z kradzieżami, ale nie miał stuprocentowej pewności. Niestety, nie miał też wyboru.

- Mój... Mój pracodawca uważa, że w tutejszych zakładach zaszły pewne nieprawidłowości. Wysłał mnie, żebym dyskretnie sprawdził, czy wszystko jest w porządku. Nie chce nagłaśniać sprawy, bo być może jego podejrzenia są niesłuszne.

- Ciekawe. - Kaitlyn twardo patrzyła mu prosto w oczy. - Trzy miesiące temu została przeprowadzona kompleksowa kontrola. Raporty powinny wszystko wykazać.

- Ale nie wykazały. - Clay pochylił się jeszcze bardziej do przodu, opierając łokcie na kolanach.

- Bo może nie było nic niepokojącego do wykazania. A ty po prostu zmyślasz.

Widział, że jej wątpliwości narastają. Musiał ją jakoś przekonać.

- Mówię prawdę. Pan McCashlin podejrzewa, że ktoś kradnie mikroprocesory, ale ich ilość jest sprytnie ukryta wśród liczby mikroprocesorów, które z różnych powodów uległy uszkodzeniu. Kaitlyn przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego bez słowa.

- Muszę zweryfikować twoją wersję. Skinał głową. Domyślał się, że tak powie. Odkąd ją spotkał, wiedział, że oprócz urody ma też rozum. Dużo rozumu.

- Dobrze. Zadzwoń do pana McCashlina i będziesz mogła z nim porozmawiać.

- Chwileczkę. Czy mam na czole wytatuowany napis: idiotka?

Mimo powagi sytuacji nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Nie, nie masz.

- To dlaczego myślisz, że zgodzę się, żebyś to ty zadzwonił? Co za problem wykreślić numer przyjaciela, który potwierdzi każdą twoją bajeczkę? - Potrząsnęła głową. - Mam w pracy numer do centrali. Z samego rana zadzwonię i spróbuję sama porozmawiać z prezesem. Po chwili wahania przystał na to rozwiązanie. Bardzo dobrze. Gdy tylko Kaitlyn wyjdzie, zadzwoni do ojca i przygotuje go na ten telefon. Z całą pewnością nie można jej zdradzić, że jest synem właściciela. Im mniej będzie wiedziała, tym lepiej.

- Kaitlyn. - Lori przykryła słuchawkę dłonią. - Pan Andrew McCashlin do ciebie.

Ku jej zdumieniu Kaitlyn zareagowała tak spokojnie, jakby nie było nic dziwnego w fakcie, że właściciel korporacji osobiście dzwoni do działu kadr w jednej z filii.

- Przełącz na aparat w sali konferencyjnej, dobrze? - odpowiedziała, podnosząc się z krzesła. - Tu czasami ktoś wpada i przeszkadza. Starannie zamknęła za sobą ciężkie drzwi i podniosła słuchawkę.

- Dzień dobry, panie prezesie, tu Kaitlyn Killeen. Dziękuję, że zechciał pan oddzwonić.

- O czym chciała pani ze mną rozmawiać?

Andrew McCashlin miał zaskakująco młody głos, do tego głęboki i ciepły. I nieodparcie seksowny.

Odsunęła od siebie tę absurdalną myśl. Nigdy go nie widziała, ale założyłaby się, że prezes musiał mieć brzuch i łysinę.

Uśmiechnęła się przelotnie, po czym przywołała się do porządku.

- Czy mówi panu coś nazwisko Clay Barrett?

- Owszem. Skontaktował się ze mną i uprzedził, że będzie pani dzwonić.

- Czy w takim razie potwierdza pan jego wersję? On pracuje dla pana?

-

- Tak. Pani Killeen - Andrew McCashlin zniżył głos - chciałbym podkreślić, że to, o czym teraz rozmawiamy, jest ściśle poufne.

- Rozumiem.

- Nie wolno pani pod żadnym pozorem zdradzić tych informacji nikomu. Ani rodzicom, ani rodzeństwu, ani najlepszej przyjaciółce...

- Panie prezesie - weszła mu w słowo - pracuję w kadrach od pięciu lat i wiem, jak ważną cechą jest dyskrecja. Roześmiał się w odpowiedzi.

- W porządku. Co w takim razie chce pani wiedzieć .o Clayu?

- Co on tu właściwie robi? Czemu posługuje się fałszywym nazwiskiem?

- Mam podejrzenia, pani Killeen, że w zakładach w Shelby ktoś dopuszcza się kradzieży. Nie chcę rozgłosu, sprawę trzeba zbadać dyskretnie. Dlatego wysłałem Claya. Komuś innemu nie mógłbym zlecić takiej misji, ale do niego mam pełne zaufanie. - Nadal nie rozumiem - powiedziała Kaitlyn, wytracona z równowagi myślą, że ktoś ze znanych jej ludzi jest złodziejem. Kradzieże w Shelby? To się tu nigdy nie zdarzało. -Prze cięż niedawno była kontrola, wyniki są w porządku.

- To prawda. Widzi pani, zajmuję się interesami od tak dawna, że potrafię wyczuć pewne rzeczy. Ja po prostu wiem, że coś jest nie tak. - Głos prezesa stał się głębszy, niemal magnetyczny. - Czy mogę na panią liczyć? Zrobi pani to, czego Clay będzie oczekiwał?

- Tak - odparła natychmiast.

- Skoro już to ustaliliśmy, może teraz porozmawiajmy o pani. - Jego głos znów się zmienił, ale teraz pojawiła się w nim ciepła nuta. - Od ilu lat pracuje pani w firmie? Od pięciu?

Gdy rano dzwoniła do centrali, sądziła, że to ona będzie zadawać pytania i na tym rozmowa się skończy. Nie przypuszczała, że prezes korporacji odwróci role i też zacznie ją wypytywać, i to o nią samą! Nie miała jednak nic przeciw temu. Była w wyśmienitym humorze. Clay okazał się w porządku. Proszę bardzo, mogła teraz opowiadać o sobie. Lori po raz kolejny popatrzyła na zegarek i sięgnęła po następny

dokument. Choć była już pora lunchu, z niewyjaśnionych przyczyn nasza ją nagła ochota, żeby dokończyć robienie zestawienia. Tak, koniecznie musiała je teraz zrobić. W dodatku nie mogła tak po prostu zostawić wszystkiego bez dozoru, prawda? Musiała poczekać, aż wróci Kaitlyn. Przyjaciółka powinna zjawić się lada moment. Drzwi do sali konferencyjnej otworzyły się dwadzieścia minut później. Lori zawzięcie przekładała leżące przed nią papiery. Podniosła głowę dopiero wtedy, gdy przyjaciółka usiadła za swoim biurkiem.

- Przez cały ten czas gadałaś przez telefon? Kaitlyn wyciągnęła z szuflady nowy ołówek i zaczęła się nim bawić.

- Pan McCashlin jest takim czarującym człowiekiem...

- Ale czego chciał? - wybuchnęła Lori, która nie była już w stanie dłużej powstrzymać ciekawości. - Oczywiście, jeśli można spytać - dodała, reflektując się.

- Chodziło o odszkodowanie dla jednego z pracowników - odparła Kaitlyn takim tonem, jakby prezes miał w zwyczaju dzwonić i dopytywać się o poszczególne osoby.

Lori pracowała w kadrach od siedmiu lat i wiedziała, że prezes nie dzwonił nigdy.

- I to zajęło aż dwadzieścia pięć minut? - Zauważyła uniesione brwi Kaitlyn i dodała pospiesznie: - Nie mierzyłam czasu, rzuciłam tak tylko...

Przyjaciółka roześmiała się.

- Ucieliśmy sobie pogawędkę. Ależ on ma głos...

- Flirtowałaś z prezesem?

Kaitlyn poczuła, że zaczyna się rumienić.

- Wcale nie flirtowałam. No, może troszeczkę. To było bardzo przyjemne.

Mówiła szczerze. Andrew McCashlin, którego na początku rozmowy nieco się obawiała, okazał się niezwykle ujmującym człowiekiem.

Lori aż przewróciła oczami.

- No bo flirt jest przyjemny! - zawołała. - A wiesz, z kim ja bym chciała poflirtować? Z Clayem Reynoldsem. On jest zabójczy.

Kaitlyn zaczęła coś bazgrać na kartce i nic nie odpowiedziała. Jeśli przyjaciółka miała apetyt na Claya, to sprawa była przesądzona.

Jeszcze żaden mężczyzna nie oparł się Lorelei Loveland.

- Chyba że ty jesteś nim zainteresowana? - Lori popatrzyła na nią z nagłą uwagą.

- Nie, skąd. W sierpniu wyjeżdżam, nie chcę sobie stwarzać problemów.

- Problemów? - zdumiała się Lori. - Pierwszy raz słyszę, żeby przystojny facet stanowił jakiś problem.

- Och, tego nigdy nie wiadomo - skomentowała Kaitlyn i dodała lekkim tonem: - Może nawet bym się nad nim zastanowiła, gdybym

zostawała w Shelby, ale skoro wyjeżdżam, to szkoda zachodu.

- Wiesz co? Chyba jeszcze do mnie nie dotarło, że za dwa miesiące już cię tu nie będzie.

- A do mnie powoli zaczyna docierać. Wysłałam aplikacje do kilku firm. Z jednej przysłali odpowiedź. Chcą się ze mną umówić na rozmowę kwalifikacyjną.

- Przecież zamierzałaś założyć własną firmę.

- Owszem, ale nie da się tego zrobić od razu. Najpierw muszę się jakoś zaczepić w Chicago i zarobić na życie. W wielkich oczach Lori malował się niekłamany podziw.

- Twarda jesteś. Ty naprawdę dasz radę wyrwać się stąd.

Pomyślała o tych wszystkich latach, kiedy ciężko pracowała, by urzeczywistnić swoje marzenie. Nikt nie wiedział, ile wyrzeczeń musiała ponieść.

- Zawsze mówiłam, że to zrobię - odparła z uśmiechem. - Chcesz mi powiedzieć, że przez ten cały czas wątpiłaś w moje siły?

- Teraz już nie wątpię. Ale muszę przyznać, że parę lat temu, gdy chodziłaś z Kennym Stevenssem, myślałam, że jednak zostaniesz.

- To był przemiły chłopak - zgodziła się Kaitlyn. - Tyle tylko, że nie zgraliśmy się w czasie.

- Nie rozumiem. Przecież byliście taką dobraną parą! Kaitlyn westchnęła.

- No właśnie, aż za bardzo dobraną. Kenny zaczął mówić o ślubie i dzieciach, a ja wiedziałam, że to dla mnie o wiele za wcześnie. Jeśli zamierzałam zrealizować moje plany, musiałam to zrobić przed wyjściem za mąż. Nie później, bo wtedy mogłabym już nie dać rady. Dlatego nie chciałam wic sobie ciepłego gniazdka w Shelby.

Wbrew pozorom zerwanie z Kennym nie przyszło jej łatwo. Nie miała jednak żadnych wątpliwości, że podejmuje właściwą decyzję.

Rezygnacja z własnych marzeń po prostu nie wchodziła w rachubę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gdy Clay wrócił po pracy, zastał Kaitlyn siedzącą na podeście pod jego drzwiami.

- Ale mam dzisiaj szczęście! - ucieszył się. - Nie dość, że zacząłem pracę, to jeszcze po powrocie do domu czeka na mnie piękna kobieta. Lepiej już być nie mogło.

Wstała i przeciągnęła się.

- Która właściwie jest godzina?

- Prawie północ. - Sięgnął pod wycieraczkę, wyjął klucz i otworzył drzwi. - Czemu nie poczekałaś w środku?

- Było zamknięte. Zresztą, to teraz twoje mieszkanie.

- Pozwalam ci zatem wchodzić do niego, gdy tylko chcesz. Klucz jest pod wycieraczką. Uśmiechnęła się.

- Widzę, że nie potrzebowałaś dużo czasu, by przejąć tutejsze zwyczaje.

- No, jeszcze nie do końca. Prawdziwym mieszkańcem Shelby stanę się dopiero wtedy, gdy zacznę zostawiać drzwi otwarte.

Kaitlyn ziewnęła i opadła na kanapę.

- Gdy zaczniesz tak robić, będzie to znak, że pora stąd uciekać, bo Shelby za bardzo cię wessało. Clay rzucił klucz na stół.

- Nagrałaś mi wiadomość na komórce, że potwierdziłaś moją tożsamość i że wszystko w porządku.

- Tak. - Patrzyła na niego już bez tego napięcia, jakie malowało się na jej twarzy ostatniej nocy. - Zostawiłam rano wiadomość w sekretariacie pana McCashlina, że chcę się z nim skontaktować i oddzwonił do mnie.

- No i co powiedział? - spytał Clay pozornie niedbałym tonem.

Co prawda ojciec obiecał mu w rozmowie, że nie zdradzi jego prawdziwego nazwiska, ale Clay nie był pewien, czy tak rzeczywiście się stało. Ojciec uważał, że skoro już zamierzają wtajemniczyć Kaitlyn w kwestię śledztwa i w razie potrzeby skorzystać z jej pomocy, to powinni okazać jej pełne zaufanie i nie zatajać przed nią niczego.

Clay zgadzał się z takim rozumowaniem, ale miał prywatne powody, by w tej jednej sprawie utrzymać Kaitlyn w niewiedzy. Do tej pory świetnie się dogadywali. Nie-chciał, żeby zaczęła traktować go inaczej niż dotychczas tylko dlatego, że był synem Andrew McCashlina i dziedzicem wielomilionowej fortuny. Przeszedł to z Lyndą i nie miał

najmniejszej ochoty na powtórkę.

- Powiedział, że twoje dochodzenie jest ściśle tajne. Kazał mi trzymać język za zębami i ślepo ci ufać - wyjawiała z uśmiechem.

- I co ty na to? - zapytał, siadając na krześle. - To znaczy pytam, czy masz do mnie absolutne zaufanie?

- Jeszcze nie zdecydowałam - odparta z przekornym błyskiem w oczach. - Jestem jednak gotowa dać ci szansę. Przynajmniej na próbę. Ciekawe, czy wiedziała, jak ślicznie wygląda, gdy jej oczy tak błyszczą?

- Czyli załatwiliście sprawę szybko? Kaitlyn zachichotała.

- Niezupełnie. Gdybyśmy trzymali się ściśle tematu, to pewnie tak by było. Pan prezes jednak okazał się całkiem rozmowny.

Clay zeszywniał. A zatem stało się dokładnie to, czego się obawiał. Ojciec zdradził jej wszystko.

- O, to mnie zaskoczyłaś. Pan McCashlin zazwyczaj nie mówi nic ponad to, co jest konieczne.

- Więc chyba wcale nie znasz go tak dobrze - przekomarzała się. - Rozmawialiśmy prawie pół godziny.

Ciarki przeszły mu po krzyżu. Było gorzej, niż przypuszczał. Z nim ojciec rozmawiał zawsze krótko i na temat. Co on jej takiego naopowiadał?

- Ciekawe. A o czym?

- Przez chwilę o tobie, a potem pan McCashlin zaczął pytać o mnie.

- Żartujesz.

- Wcale nie. Okazało się, że dużo nas łączy. Czy wiesz, że on zna samego Roberta Alphonse'a?

Wypowiedziała to nazwisko w taki sposób, jakby to rzeczywiście był ktoś niesamowity. Clay raz czy dwa spotkał znanego projektanta mody i miał ochotę rzucić kąśliwą uwagę, że ten pan jest rzeczywiście bardzo modny, co wcale nie znaczy, że jest cokolwiek wart. Zamiast tego przywołał na twarz wyraz uprzejmego zainteresowania.

- Drew powiedział, że jak przyjadę do Chicago, to osobiście mnie jemu przedstawi.

Tym razem Clayowi nie udało się ukryć zaskoczenia.

- Drew? Pozwolił ci mówić do siebie „Drew”?

Na ustach Kaitlyn pojawił się zadowolony uśmiešek.

- Mhm. Oczywiście w sytuacjach oficjalnych mam się do niego nadal zwracać „panie McCashlin”.

Wpatrywał się w nią ze zdumieniem. Gdyby nie znał swojego ojca, pomyślałby, że ten z nim konkuruje i podrywa mu dziewczynę. No dobrze, Kaitlyn nie była jego dziewczyną w dosłownym znaczeniu, dopiero co się poznali i w ogóle, ale ewidentnie był pod jej urokiem i nie życzył sobie, żeby ojciec próbował wyrzucić na niej wrażenie swoją pozycją i koneksjami.

- Wygląda na to, że przypadliście sobie do gustu.

- Chyba tak. - Kaitlyn aż westchnęła z ukontentowaniem. - Bardzo miło się z nim rozmawiało. Miałam wrażenie, że znam go od lat.
- Musiał być w wyjątkowo rozmownym nastroju. Zazwyczaj jest bardziej powściągliwy.

Nagle dotarło do niego, że robiąc z ojca mruka, nie jest wobec niego w porządku. Rzeczywiście, od czasu śmierci żony tata stał się domatorem, ale przedtem był człowiekiem towarzyskim. I generalnie lubianym.

A teraz polubiła go Kaitlyn Killeen.

- Ile on ma lat? - zagadnęła. - To znaczy, na ile wygląda?

- Czemu pytasz?

- Przedtem myślałam, że pewnie ma koło sześćdziesiątki, ale jak go usłyszałam, to już nie byłam taka pewna. Głos ma młody.

- Czterdzieści trzy lata. A uprzedzając twoje następne pytanie, mogę dodać, że nie jest żonaty. Owdowiał w zeszłym roku.

- Hmm... - W zamyśleniu położyła palec na ustach.

- Przypominam jednak, że to multimilioner. To nie twoja sfera.

To nie była uczciwa uwaga. Jego ojciec nie należał do ludzi, którzy zwracają uwagę na pieniądze i status społeczny.

Zaśmiała się w taki sposób, jakby powiedział coś wyjątkowo głupiego.

- Przecież ja nie zamierzam wydawać się za niego! Stwierdzam tylko, że wbrew moim oczekiwaniom okazał się przesympatycznym gościem, z którym miło przegadałam prawie pół godziny, to wszystko. Wiesz, jak zdobył fundusze na założenie firmy? Grając na giełdzie.

Clay wcale się nie zdziwił, że ojciec opowiedział Kaitlyn o początkach swojej działalności. Zawsze był dumny z faktu, że do wszystkiego doszedł wyłącznie o własnych siłach.

- Słyszałem o tym.

- Chyba go ucieszyło, że ja też tak zaczynam.

- Ty grasz na giełdzie?

Jej oczy błysnęły na dźwięk niedowierzania w jego głosie.

- A co? Myślisz, że córka robotnika z prowincji nie jest w stanie odróżnić funduszu agresywnego inwestowania od stabilnej lokaty długoterminowej?

Clay z wrażenia aż się wyprostował na krześle.

- Rety, gadasz jak spekulant giełdowy!

- Bo nim jestem - odparła z pełną satysfakcji miną, co w oczach Claya tylko dodało jej uroku. - I to całkiem niezłym, ośmielam się stwierdzić.

- Wcale nie wątpię - powiedział, zastanawiając się jednocześnie, czy ta kobieta przestanie go kiedyś zadziwiać. - Jednego tylko nie rozumiem. Skoro jesteś w tym taka dobra, to czemu nie poświęcisz się temu całkowicie? Mogłabyś osiągnąć sukces.

- Dla mnie gra na giełdzie to tylko środek do osiągnięcia celu. Chcę projektować ubrania - oznajmiła z mocą i jej oczy znowu zaśmiały. - Ale

nie dla jakiegoś domu mody ani tym bardziej dla firmy odzieżowej. Chcę wy lansować własną markę.

- Jak zamierzasz to zrobić? Znalazłaś jakiegoś sponsora? Przecież najpierw musisz mieć kapitał początkowy. Rozruch firmy wymaga poważnych nakładów.

- Zgadza się. Ale ja już o wszystkim pomyślałam.

Przecież widział, w jakim domu mieszka, jakim samochodem jeździ. Nie wiedział dokładnie, ile zarabia, ale mógł się domyślać. Nie dałoby się z tego odłożyć wystarczającej sumy. I raczej niemożliwe, żeby zdołała tyle zarobić na spekulacjach giełdowych.

Chyba że...

Odsunął tę myśl od siebie. Co za bzdura. Kaitlyn nie mogła być zamieszana w kradzież. Musiało istnieć jakieś inne wytłumaczenie.

- No, dość już o mnie - ucięła Kaitlyn i teraz to ona przyjrzała się Clayowi z zaciekawieniem. - Powiedz, dlaczego to właśnie ciebie Drew przysłał do Shelby?

- Byłem najbardziej dyspozycyjny, mogłem wszystko zostawić i przyjechać.

- Od dawna dla niego pracujesz?

- Chyba od zawsze - odparł z westchnieniem.

- Czyżbyś nie lubił swojej pracy?

- Nie o to chodzi, praca jest w porządku. Mam jednak coraz większą ochotę ją rzucić.

Kaitlyn pochyliła się do przodu, opierając łokcie na kolanach. W jej oczach widniało żywe zainteresowanie.

- Dlaczego?

- Wolałbym pracować na swoim. Chciałbym mieć własną firmę.

- Jaka?

- Jeszcze nie wiem.

- Chyba zwariowałeś, jeśli myślisz, że na tym poprzestanę. -

Uśmiechnęła się szeroko. - No? Musisz przecież mieć jakiś pomysł. Co ta twoja firma miałyby robić?

Coś, co nie stanowiłoby konkurencji dla działalności mojego ojca.

- Naprawdę trudno powiedzieć. Wiem tylko, że mam dość wykonywania cudzych poleceń.

- To już coś. Jednak nie wystarczy. Musisz porządnie się zastanowić nad tym, co zamierzasz robić w przyszłości. Życie jest za krótkie, żeby tak dryfować bez celu.

- A skąd wiesz, że dryfuję? Skąd wiesz, że to, co robię, nie jest częścią jakiegoś planu?

- Nie możesz mieć planu, skoro nie wiesz, dokąd zmierzasz - skwitowała, po czym przyjacielskim gestem wzięła go za rękę. -

Posłuchaj, może to ci się wyda głupie, ale ja wierzę, że nie trafiłeś do Shelby przez przypadek. Jesteś tu po to, żeby dojść do ładu ze sobą i

zrozumieć, czego naprawdę chcesz. Masz czas na zastanowienie się. Dostałeś szansę.

- Trochę to za głębokie jak na tę porę...

- To prześpij się z tą myślą. Sam zobaczysz, że to ma naprawdę sens.

- Wiesz co? Nigdy nie wierzyłem, że przypadek nie istnieje i że wszystko przydarza nam się w jakimś celu. I dziwi mnie, że ty w to wierzysz.

- Co w tym dziwnego?

- Weźmy, na przykład, twojego brata. Jaki sens ma śmierć dziecka?

Zielone oczy Kaitlyn pociemniały z bólu i Clay pożałował, że nie ugryzł się w język. Ale jeśli ona miała jakąś odpowiedź na to gorzkie pytanie, to koniecznie chciał ją usłyszeć. Dotąd nie pogodził się z przypadkową śmiercią matki.

- Skąd wiesz o Benie? - wyszeptała.

- Od twojego ojca. Powiedział, że to ty go wychowywałaś i że rzuciłaś naukę, żeby opiekować się nim, gdy zachorował.

Clay nie do końca uwierzył w słowa Franka, że Kaitlyn była dla najmłodszego brata jak matka. Dopiero teraz, gdy zobaczył jej pobladłą, pełną cierpienia twarz, zrozumiał, że ojciec dziewczyny nie przesadzał.

- Ben był wyjątkowy. W ciągu swojego krótkiego życia zdołał zaskarbić sobie miłość wielu osób. Nie wiem, dlaczego zachorował na raka. Nie wiem, dlaczego tak szybko odszedł. Wiem tylko, że przeżył swoje życie tak dobrze, jak było to możliwe. To on mnie nauczył, że należy wykorzystywać czas, jaki otrzymaliśmy.

- Stąd twoja determinacja, żeby wyrwać się z Shelby.

- Aha. - Nieoczekiwanie na jej twarzy pojawił się uśmiech. - Ale najpierw złapiemy tego złodzieja.

- Hola! - Clay prawie podskoczył na krześle. - A kto ci powiedział, że bierzesz udział w śledztwie?

- Drew. Mam ci pomagać.

- Wykluczone! To robota dla jednej osoby. Najlepiej mi pomożesz, utrzymując całą sprawę w tajemnicy.

- To nie jest pomoc, tylko chowanie głowy w piasek - zaproponowała, marszcząc brwi, ale Clay jedynie wzruszył ramionami.

- Nazywaj to, jak chcesz, ale tego właśnie potrzebuję.

- Posłuchaj, mogłabym dyskretnie popytać...

- Nie ma mowy - uciął zdecydowanie. - Jeśli przypadkiem dowiesz się czegoś ciekawego, to będę wdzięczny, gdy podzielisz się ze mną informacjami, ale na tym koniec.

Kaitlyn przekrzywiła głowę. Czemu był taki uparty? I właściwie, czemu tak jej zależało?

- Czemu jesteś taki uparty?

- Czemu tak ci zależy, żeby mi pomagać?

Bo wtedy będziemy się częściej spotykać.

Ta myśl pojawiła się nie wiadomo skąd. Przez moment Kaitlyn bała się, że wypowiedziała ją na głos. Ależ by sobie napytała biedy! Głównie dlatego, że to nie było prawdą. Nie mogło być.

Pospiesznie podniosła się z kanapy, próbując uporządkować myśli.

- Bo nie znajdziesz tego złodzieja beze mnie, czy ci się to podoba, czy nie.

- Skąd ta pewność?

- A stąd, że znam to miasto jak własną kieszeń. I znam ludzi. Ty nie.

Clay z ciężkim westchnieniem przeczesał włosy dłonią.

Dopiero teraz Kaitlyn zauważyła cienie pod jego oczami. Jej spojrzenie złagodniało.

- Dokończymy tę rozmowę innym razem. Musisz się wyspać.

Skinał głową.

Zamykał już za nią drzwi, gdy rzuciła przez ramię:

- Jutro o jedenastej w „Czajniku”. Clay gwałtownie otworzył drzwi z powrotem i spojrzał na dziewczynę półprzytomnie.

- Co proszę?

Kaitlyn odwróciła się, opierając dłoń na poręczy schodów.

- „Czajnik” to bar na rogu ulic Elm i Main. Spotkamy się tam jutro o jedenastej.

- Ale po co?

- Żeby dokończyć naszą rozmowę. Równie dobrze możemy przy okazji coś zjeść - wyjaśniła z niewinną miną.

- Nie poddajesz się łatwo, co?

Gdy potrząsnęła głową, Clay westchnął z rezygnacją.

- Jutro o jedenastej w „Czajniku” - zgodził się.

Kaitlyn uśmiechnęła się z zadowoleniem. Nie dość, że przystojny, to jeszcze inteligentny. Szybko zrozumiał, że nie ma szans.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Clay zajął miejsce przy stoliku, zastanawiając się jednocześnie, czemu właściwie zgodził się na to spotkanie. Nie było w ogóle o czym gadać. To jego śledztwo, Kaitlyn nie miała tu nic do roboty. Niestety, jej zdanie na ten temat było zdecydowanie inne.

Uśmiechnął się.

Uparty rudzielec.

- Dzień dobry, czy mogę przyjąć zamówienie?

Mimo obrączki na palcu i zaawansowanej ciąży kelnerka wyglądała na niewiele starszą od jego piętnastoletniej siostry. Z troską pomyślał o Nicole. Jak to chorowite chuchro dałoby sobie radę w podobnej sytuacji?

- Na razie poproszę mrożoną herbatę.

- Już podaje.

Oparł się wygodnie i rozejrzał dookoła. Przedpołudniowa pora nie oznaczała wcale, że lokal świecił pustkami. Przeciwnie. Było całkiem sporo ludzi i wciąż pojawiali się następni klienci, a właściciel witał każdego, zwracając się do niego po imieniu. Do każdego gościa ktoś machał od jakiegoś stolika, każdemu ktoś miał coś do powiedzenia. Dla Claya, który wychował się w Chicago, normalne było raczej to, że w miejscu publicznym nikt nikogo nie znał. Owszem, tu też nikt go nie znał, ale z tego powodu zwracał na siebie uwagę wszystkich. Był wyjątkiem.

- Mam nadzieję, że nie kazałam ci długo czekać. - Zarumieniona od szybkiego spaceru Kaitlyn posłała mu serdeczny uśmiech.

- Pańska herbata. - Kelnerka postawiła przed nim szklanke i rozjaśniła się na widok Kaitlyn. - Cześć! Nie wiedziałam, że to na ciebie czeka taka obstawa.

- Cześć, Melody. Widzę, że znowu utylaś. Długo jeszcze do porodu? Kelnerka pogłaskała się po brzuchu.

- Sześć tygodni.

- Słyszałam, że Jim dostał pracę w zakładach.

- Tak, zaczął w zeszłym tygodniu. Nie masz pojęcia, jak się cieszyliśmy. Pamiętasz, mówiłam ci, że w tej poprzedniej robocie nie miał ubezpieczenia? A tu dziecko w drodze! I co? Płacić za wszystko? Kto by miał na to pieniądze? No, ale wszystko się dobrze ułożyło.

- Bardzo się cieszę, naprawdę. - Kaitlyn zerknęła na Claya i na stojącą przed nim szklanke. - Co tam masz? Mrożoną herbatę? To ja też

poproszę.

- Się robi. - Melody też spojrzała na Claya, nie kryjąc zaciekawienia. - Twój nowy chłopak? Kaitlyn roześmiała się tylko.

- Mój nowy znajomy. Poznajcie się, proszę. Clay Reynolds, Melody Wyatt. To znaczy, Kinkerdall. Ciągle jeszcze nie mogę się przyzwyczaić.

- Miło mi cię poznać.

- Mnie również. Oj, muszę lecieć, szef na mnie kiwa. Zaraz przyniosę ci herbatę.

Clay odprowadził wzrokiem oddalającą się nastoletnią kelnerkę w dzinsowych ogrodniczkach.

- Przypomina mi moją siostrę.

- A co? Nicole też spodziewa się dziecka?

- Nie, coś ty. - Aż się wzdrygnął na tę myśl. - Ale jest niewiele młodsza.

- Melody to najlepsza przyjaciółka najmłodszej siostry Lori. Jej mąż, Jim, grał w jednej drużynie koszykówki z naszym Tomem.

- Rany, tu wszyscy są spokrewnieni - zauważył niemal ze zgrozą.

- Nie spokrewnieni, ale z całą pewnością wzajemnie powiązani. To naprawdę mała miejscina.

- Założę się, że jeszcze będzie ci tego brakować. - Wykonał dyskretny ruch dłonią, obejmujący wnętrze baru. W rogu emeryci grali w warcaby.

- Zwariowałaś? - Kaitlyn popatrzyła na niego z nagłym zdumieniem. - Wcale nie.

- Nie możesz tego wiedzieć - zauważył trzeźwo. -Przez całe życie miałaś tych wszystkich ludzi na wyciągnięcie ręki. Skąd wiesz, czy ci się spodoba anonimowość wielkiego miasta? Nigdy w nim nie mieszkałaś.

- A ty nigdy nie mieszkałaś w prowincjonalnej dziurze. Nie wiesz, dlaczego mi się w niej nie podoba.

- Skąd ta pewność, że nie mieszkałem?

- Bo gdybyś mieszkał, nie byłoby tej całej gadki o tym, czy jestem ci potrzebna, czy nie. Wiedziałbyś, że potrzebujesz zaprzyjaźnionego mieszkańca, bo inaczej niczego się nie dowiesz, nie przenikniesz do wewnątrz.

- Byłem ciekaw, ile czasu ci zajmie dojście do tego tematu. - Spojrzał na zegarek. - Pięć minut. Moje gratulacje.

- Mam tylko godzinę na lunch. - Posłała mu przekorny uśmiech. - Więc muszę działać szybko.

Clay wstrzymał się z odpowiedzią, ponieważ Melody właśnie podeszła do stolika, postawiła herbatę i przyjęła zamówienie. Gdy znowu zostali sami, przypuścił atak:

- A skąd mogę mieć pewność, że jesteś osobą godną zaufania?

- Spytaj kogokolwiek - poradziła.

- Przepraszam pana bardzo. - Clay bezceremonialnie zatrzymał

przechodzącego obok wysokiego okularnika w średnim wieku. - Czy pan zna tę kobietę?

Zaskoczony mężczyzna przyjrzał im się uważnie.

- Ależ oczywiście. Znam Kaitlyn od urodzenia.

- Dzień dobry, pastorze Williams - powiedziała Kaitlyn. Clay łypnął podejrzliwie. Pastor? Facet nie wyglądał na pastora.

- A czy można jej wierzyć?

- Jak najbardziej. Ja na przykład wierzę w to, że przyprowadzi pana na niedzielne nabożeństwo - podsumował pastor Williams.

- Kiedy ja... - Clay urwał gwałtownie, gdy Kaitlyn kopnęła go pod stołem.

- Oczywiście, że go przyprowadzę - zadeklarowała szybko z przymilnym uśmiechem.

- A zatem do zobaczenia.

- Niedzielne nabożeństwo? - wysyczał Clay, gdy pastor się oddalił. - W co ty mnie pakujesz? Wzruszyła ramionami

- Sam się w to wpackowałeś. Nie trzeba było zaczepiać duchownej osoby.

- Zmiłuj się, a skąd miałem wiedzieć, że to duchowna osoba? - jęknął z desperacją. - Facet lata w szortach i w koszulce, że o czapce z daszkiem nie wspomnę.

- Właśnie trwa sprzątanie kościoła po remoncie. Gdybyś był stąd, wiedziałbyś o tym. Wiedziałbyś też, że Melody jest córką ciotecznej siostry pastora.

Nie musiała już tego dodawać. Naprawdę nie trzeba było mu aż tak łopatologicznie tłumaczyć, że przegrał.

- Może rzeczywiście cię potrzebuję - skapitulował.

- Może?

- No dobra, potrzebuję cię.

- Jejku, jakie to słodkie. - Melody aż westchnęła, stawiając na stole tacę z hamburgerami i frytkami. - A ja już nawet nie pamiętam, kiedy Jim ostatni raz mi powiedział, że mnie potrzebuje.

- Kiedy on wcale nie musi tego mówić - zaprotestowała żywo Kaitlyn. - Przecież wystarczy na niego spojrzeć, by wiedzieć, że wariuje za tobą.

- Naprawdę? - ucieszyła się Melody i wróciła do kuchni wyraźnie tanecznym krokiem.

- Wystarczy na niego spojrzeć? - powtórzył Clay, wznosząc oczy ku górze. - Nie do wiary. Wcisnęłaś jej taki kit, a ona to kupiła.

- Akurat tak się składa, że Jim naprawdę ją uwielbia i to po nim widać. A ty mówisz tak, jakbyś nigdy nikogo nie kochał - zauważyła.

- Raz mi się zdarzyło. To znaczy, jak się teraz zastanowię, to dochodzę do wniosku, że tylko mi się zdawało. Zaintrygowana, pochyliła się ku niemu nad stołem.

- Dlaczego? Co się stało?

Miał ochotę zbyć ją uwagą, że to nie jej sprawa, ale znając jej upór, chyba prościej było powiedzieć prawdę.

- Ona chciała wyjść za bogatego faceta.

- Wiec nie zależało jej na tobie? Napił się herbaty.

- A jak myślisz?

- To musiało być dla ciebie bolesne odkrycie - powiedziała ze współczuciem.

- Byłoby gorzej, gdyby dopiero po ślubie okazało się, o co jej naprawdę chodziło - odparł filozoficznym tonem. - A ty? Kochałaś kogoś?

- Kiedyś myślałam, że tak.

- I co?

- To wszystko było źle zgrane w czasie - wyjaśniła w zamyśleniu, opierając się wygodnie. - Dałam się ponieść emocjom.

- Co przez to rozumiesz?

- Tak się zaangażowałam, że wszystko inne zeszło na dalszy plan. - Nie podnosząc wzroku na Claya, rysowała coś palcem na blacie. - Kenny oświadczył się. Na początku byłam wniebowzięta, ale potem zrozumiałam, że to dla mnie pułapka. Musiałabym zrezygnować z moich marzeń, a to nie wchodziło w grę.

- A co z Johnem?

Tym razem spojrzała mu prosto w oczy.

- Wyjeżdżam stąd w sierpniu - oznajmiła z mocą. - Nie zamierzam się z nikim wiązać.

- Myślisz, że Johnowi można ufać? To uczciwy człowiek?

- Podejrzewasz go? - spytała ze zgrozą.

- Podejrzewam każdego bez wyjątku - odparł ściszym głosem. - A John Carpenter i Paul Novak znajdują się na początku mojej listy. Właśnie oni mają największe możliwości dokonania i ukrycia kradzieży.

Kaitlyn przesunęła dłonią po czole.

- Któryś z nich miałby być złodziejem? To po prostu nie do wiary.

- Musimy się przekonać. Naprawdę chcesz się w to pakować?

Naprawdę chcesz mi pomóc?

- No i jak było na lunchu? - Lori podniosła głowę znad komputera i posłała przyjaciółce przeciągłe spojrzenie. - Słyszałam, że ty i Clay czule gruchaliście w „Czajniku”.

Kaitlyn nawet nie pytała, skąd Lori wie. I tak na pewno już wszyscy o tym plotkowali.

- O gruchaniu nic nie wiem. Zjedliśmy po hamburgerze z frytkami.

- Podobno Clay idzie z tobą w niedzielę do kościoła. Jak ty to zrobiłaś?

- Nijak. Pastor Williams tak go przycisnął do muru, że Clay nie mógł w żaden sposób się wykręcić.

Co prawda kopniak w kostkę też swoje zrobił.

Kaitlyn nie miała pojęcia, czy Clay w ogóle chodził do kościoła, ale to

było bez znaczenia. Skoro zamieszkał w Shelby, musiał chodzić.

- Dziwi mnie, że tak się zaangażowałaś. Przecież wkrótce zamierzasz wyjechać i nie chciałaś żadnych problemów. - Lori przestała udawać, że pracuje i odsunęła się od biurka.

- Wcale się nie zaangażowałam. Po prostu poszłam z nim na lunch.

- A będzie ci przeszkadzać, jak i ja z nim pójdę?

- A co? Zaprosił cię?

- Nie, ale czuję przez skórę, że niedługo zaprosi. Jednak jeśli tylko chcesz, to go spławię.

Kaitlyn nie odzywała się przez chwilę.

- Nie, nie musisz.

Wiedziała, że jeżeli naprawdę zamierza przyczynić się do postępów śledztwa, to właśnie powinna zachęcać Claya do spotkania się z Lori. Ona знаła Paula lepiej niż ktokolwiek inny w Shelby i mogła stanowić cenne źródło informacji.

Powinna podsunąć Clayowi tę myśl. I wiedziała, że tego nie zrobi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pastor Williams stał przy tablicy z ogłoszeniami i serdecznie żegnał każdego z wychodzących wiernych. Na jego czole połyskiwały kropelki potu. Zaczynało się robić upalnie, chociaż było dopiero wpół do jedenastej.

- Pan Reynolds, miło znów pana widzieć. To już drugi raz z rzędu. -
Pastor wyciągnął rękę.

- Ładne kazanie.

- Dziękuję.

Od śmierci matki Clay nie był w kościele i obawiał się, że powrót będzie nieprzyjemny, a co najmniej dziwny. Tymczasem okazało się, że niedzielne nabożeństwo w towarzystwie Kaitlyn sprawiło na nim wrażenie najnaturalniejszej rzeczy pod słońcem.

Pastor miał donośny głos, modulował go umiejętnie podczas kazania i mówił z głębokim przekonaniem, ale Clay słuchał jednym uchem. W pewnym momencie usłyszał zdanie, które go po prostu poraziło. „Uparte trzymanie się drogi własnej może sprowadzić na drogę złą”. Przestał wtedy podziwiać włosy Kaitlyn, które cudownie lśniły w świetle promieni wpadających przez wysokie okna, i zastanowił się, czy to przypadkiem nie odnosi się do niego. Od dwóch tygodni śledztwo nie posunęło się do przodu ani na jotę. Czy nie dlatego właśnie, że cały czas upierał się przy swoich sposobach? Może powinien zacząć słuchać opinii Kaitlyn, pozwolić jej na większą aktywność niż dotychczas? Dlaczego wszystko miało być tak, jak on to sobie wyobrażał?

Lekko dotknął pleców idącej przed nim Kaitlyn.

- Powiedz ojcu, że wrócisz później - szepnął jej do ucha. - Zabieram cię na przejażdżkę. Musimy porozmawiać.

Gdy odwróciła się do niego, owionął go zapach jaśminu.

- Przecież idziesz na trzecią do pracy.

- Ale do tego czasu jestem wolny - odparł.

Dużo by dał, żeby w ogóle nie iść do roboty. Nienawidził pracy w magazynie. Nienawidził niewolniczego wykonywania poleceń.

Nienawidził dzwonków, które odmierzały czas. Owszem, potrafił długo i ciężko pracować, ale w Chicago i w Paryżu miał ten komfort, że gdy tylko chciał, mógł zrobić sobie wolne popołudnie i iść na tenisa. Tylko od niego zależało, jak zorganizuje sobie pracę.

- Hm, przejażdżka... - Kaitlyn przechyliła głowę na ramię i

ostentacyjnie zmierzyła Claya taksującym spojrzeniem. - Interesująca propozycja.

Poczuł, że jego serce zaczyna bić szybciej. Gdyby nie miał pastora za plecami, to chyba by ją pocałował.

Spokojnie, niedługo będą do tego lepsze warunki.

- Najpierw muszę zamienić dwa słowa z Lori - powiedziała, ruszając w stronę przyjaciółki. Chcąc nie chcąc, poszedł za nią.

- O, cześć wam. Chciałam usiąść z wami, ale spóźniłam się i zostałam z tyłu.

Clay przywitał Lori uśmiechem, który miał wyrażać sympatię, ale nic ponadto. Odkąd się poznali, Lori kilka razy wyciągnęła go na miasto.

Może to nic nie znaczyło, może po prostu starała się być miła dla przybysza, który musiał czuć się obco w tak małej i zamkniętej społeczności? W każdym razie starał się, by nie wyciągnęła zbyt daleko idących wniosków z faktu, że parokrotnie się z nią spotkał.

Zresztą i tak wszyscy gadali o nim i o Kaitlyn. On nie miał zupełnie nic przeciwko temu, by nazywano ich parą, ale ona reagowała stanowczo za każdym razem, gdy słyszała podobną sugestię.

Z uporem prostowała, że są tylko dobrymi przyjaciółmi, to wszystko.

Clay wiedział, że w takim razie on nie jest dobrym przyjacielem. Dobry przyjaciel nie myśli o pocałunkach i pieszczotach, nie wyobraża sobie dotyku nagiej skóry...

- Clay!

Zamrugał gwałtownie, przywrócony do rzeczywistości głosem Kaitlyn.

- Mówiłaś coś?

Przyjaciółki roześmiały się na widok jego półprzytomnej miny.

- W przyszłą sobotę jest przyjęcie u Lori. Wszyscy tam będą.

Przyjdiesz?

Clay zauważył, że Kaitlyn położyła lekki nacisk na słowo „wszyscy”. Domyślił się, co w ten sposób mu sugerowała. On również powinien się zjawić. Tym razem, ponieważ jego własne pomysły nie przyniosły dotąd żadnego rezultatu, postanowił skorzystać z jej rady.

- Tak, z przyjemnością.

Niespodziewanie w szafirowych oczach Lori zagościł wyraźny chłód.

- A nie musisz iść do pracy?

Ugryzł się w język, żeby głośno nie zakląć. Jak mógł być tak nieuważny? Przecież Lori zapraszała go na to przyjęcie parę dni wcześniej, a on odpowiedział zgodnie z prawdą, że nie może, bo pracuje. Gdy dziś z tą samą propozycją zwróciła się do niego Kaitlyn, nawet nie pomyślał o tym, czy jest wolny, czy nie.

- Jakoś to załatwię.

- Jak ty to sobie wyobrażasz? - naciskała Lori. - Trudno będzie ci znaleźć kogoś, kto się z tobą zamieni, bo prawie wszyscy są zaproszeni.

- Może jednak uda mi się kogoś znaleźć.
- A jeśli nie? - Pytająco uniosła brew.
- Wtedy zrobię to, co każdy amerykański robotnik zrobiłby na moim miejscu.
- To znaczy?
- Pójdę na chorobowe.
- Daleko jeszcze? - Kaitlyn przytuliła głowę do jego pleców i objęła go mocniej.

Zanim ruszyli, przyznała mu się, że boi się jazdy motorem, odkąd jej brat Joe miał wypadek na pożyczonym od sąsiada motocyklu i Kaitlyn musiała zawieźć go do szpitala. Na szczęście okazało się, że obrażenia nie są poważne, zaledwie złamany obojczyk, ale na początku wyglądało to znacznie gorzej.

- Zaraz będziemy na miejscu - odpowiedział, jednocześnie rozkoszując się dotykiem jej ciała.
- Dokąd właściwie jedziemy?
- To niespodzianka.

Pamiętał, że w drodze do Shelby widział sympatyczny parking, nawet zatrzymał się tam na ostatni postój. W pobliżu była łąka, niewielka rzeczka, trochę drzew, które dawały miły cień, i drewniane stoły z ławami. No i spokój.

- Umieram z głodu - jęknęła Kaitlyn. - Ten kurczak tak pachnie, że aż mnie skreca.

Po drodze wpadli po prowiant do „Czajnika”, gdzie tym razem właściciel przywitał po imieniu również Claya. To uświadomiło mu, że jego śledztwo trwa za długo.

- Już jesteśmy. - Harley łagodnym łukiem zjechał z szosy. Pod kołami zazgrzytał żwir. - No i co myślisz?

Kaitlyn zsiadła z motoru, zdjęła kask i z zachwytem spojrzała na soczystą zieleń trawy.

- Pięknie tu! Jak znalazłeś to miejsce?

Uśmiechnął się z zadowoleniem na widok jej reakcji.

- Wpadło mi w oko w drodze do Shelby, przystanąłem na chwilę, pomyślałem, że w miarę fajne.

- Fajne? Fantastyczne! - Odczepiła kosz, w który Me-lody spakowała im prowiant na piknik. - Czy możemy zejść nad wodę? Tam jest tak spokojnie.

- No pewnie. Daj, ja to wezmę. - Odebrał jej koszyk.

Poszli nad rzekę, trzymając się za ręce. Clay odstawił koszyk, wyjął z niego ceratowy obrus i rozłożył na trawie.

Usiedli.

Popatrzyli na siebie.

Uśmiechnęli się.

Nagle Kaitlyn poczuła się tak zakłopotana, że zajęła się

rozpakowywaniem jedzenia, by zatuszować skrzępowanie. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że Clay nadal wpatruje się w nią z uśmiechem.

- A nie musisz iść do pracy?

Ugryzł się w język, żeby głośno nie zakląć. Jak mógł być tak nieuważny? Przecież Lori zapraszała go na to przyjęcie parę dni wcześniej, a on odpowiedział zgodnie z prawdą, że nie może, bo pracuje. Gdy dziś z tą samą propozycją zwróciła się do niego Kaitlyn, nawet nie pomyślał o tym, czy jest wolny, czy nie.

- Jakoś to załatwię.

- Jak ty to sobie wyobrażasz? - naciskała Lori. - Trudno będzie ci znaleźć kogoś, kto się z tobą zamieni, bo prawie wszyscy są zaproszeni.

- Może jednak uda mi się kogoś znaleźć.

- A jeśli nie? - Pytająco uniosła brew.

- Wtedy zrobię to, co każdy amerykański robotnik zrobiłby na moim miejscu.

- To znaczy?

- Pójdę na chorobowe.

- Daleko jeszcze? - Kaitlyn przytuliła głowę do jego pleców i objęła go mocniej.

Zanim ruszyli, przyznała mu się, że boi się jazdy motorem, odkąd jej brat Joe miał wypadek na pożyczonym od sąsiada motocyklu i Kaitlyn musiała zawieźć go do szpitala. Na szczęście okazało się, że obrażenia nie są poważne, zaledwie złamany obojczyk, ale na początku wyglądało to znacznie gorzej.

- Zaraz będziemy na miejscu - odpowiedział, jednocześnie rozkoszując się dotykiem jej ciała.

- Dokąd właściwie jedziemy?

- To niespodzianka.

Pamiętał, że w drodze do Shelby widział sympatyczny parking, nawet zatrzymał się tam na ostatni postój. W pobliżu była łąka, niewielka rzeczka, trochę drzew, które dawały miły cień, i drewniane stoły z ławami. No i spokój.

- Umieram z głodu - jęknęła Kaitlyn. - Ten kurczak tak pachnie, że aż mnie skreca.

Po drodze wpadli po prowiant do „Czajnika”, gdzie tym razem właściciel przywitał po imieniu również Claya. To uświadomiło mu, że jego śledztwo trwa za długo.

- Już jesteśmy. - Harley łagodnym łukiem zjechał z szosy. Pod kołami zazgrzytał żwir. - No i co myślisz?

Kaitlyn zsiadła z motoru, zdjęła kask i z zachwytem spojrzała na soczystą zielenią trawy.

- Pięknie tu! Jak znalazłeś to miejsce?

Uśmiechnął się z zadowoleniem na widok jej reakcji.

- Wpadło mi w oko w drodze do Shelby, przystanąłem na chwilę, pomyślałem, że w miarę fajne.

- Fajne? Fantastyczne! - Odczepiła kosz, w który Me-lody spakowała im prowiant na piknik. - Czy możemy zejść nad wodę? Tam jest tak spokojnie.

- No pewnie. Daj, ja to wezmę. - Odebrał jej koszyk.

Poszli nad rzekę, trzymając się za ręce. Clay odstawił koszyk, wyjął z niego ceratowy obrus i rozłożył na trawie.

Usiedli.

Popatrzyli na siebie.

Uśmiechnęli się.

Nagle Kaitlyn poczuła się tak zakłopotana, że zajęła się rozpakowywaniem jedzenia, by zatuszować skrępowanie. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że Clay nadal wpatruje się w nią z uśmiechem. Wiedziała, że się rumieni i wiedziała, że to widać. Przy jej jasnej cerze nie dało się niczego ukryć.

- Wiesz, to zabawne - odezwała się, przerywając kłopotliwe dla niej milczenie. - Czuję się jak nastolatka na pierwszej randce.

Posłał jej łobuzerski uśmiech, na widok którego jej serce swoim zwyczajem fiknęło koziołka.

- Podobam ci się, co?

- Jesteś w porządku - rzuciła z udawaną nonszalancją.

- W takim razie zdradzę ci pewien mały sekret. - Pochylił się i szepnął jej do ucha: - Ty też mi się podobasz.

Po plecach przeleciał jej ekscytujący dreszcz.

Gdyby rzeczywiście byli nastolatkami, to teraz by spytał, czy zostanie jego dziewczyną. Zganiła się w myślach. Nie byli już dziećmi. Byli dorośli, a każde z nich zmierzało swoją własną drogą.

No i co z tego, odezwał się w niej jakiś zdradziecki głos. Gdy biegasz na randki jako nastolatka, to nie myślisz, że to cię do czegoś zobowiązuje i że ten ktoś jest na zawsze. Po prostu cieszysz się chwilą. Czy dorośli nie może tak zrobić?

- Zanim rozprawimy się z kurczakiem, mam prezent dla ciebie. - Clay sięgnął do kieszeni i wyjął z niej coś, czego Kaitlyn nie mogła zobaczyć w jego szczelnie zaciśniętej dłoni. - Zamknij oczy i wyciągnij rękę.

- A jak nie, to co?

- To nici z prezentu.

- Taak? A co tam masz? Papierek? Żabę? - wyliczała, pamiętając, jakie „prezenty” dostawała w ten sposób od swoich braci. - A może wykosztowałaś się na gumę do żucia z automatu w „Czajniku”?

- Zamknij oczy i wyciągnij rękę - powtórzył.

Tym razem posłuchała. Gdy tylko położył coś na jej dłoni, szybko zacisnęła palce i cofnęła rękę, żeby nie mógł zabrać prezentu z

powrotem. Tego też nauczyli ją bracia.

Otworzyła oczy.

- Pierścionek?!

- Całkiem nieźle kombinowałaś z tą gumą - przyznał. - Gdy rozmawiałaś z Melody, zagrałem sobie na automacie i miałem fart, bo zamiast gumy wygrałem to. Jest dla ciebie.

Podniosła w górę srebrzysty drobiazg, żeby popatrzeć pod słońce na różowe oczko.

- Wygrałeś, akurat Moi bracia cię podpuścili, co?

- O czym ty mówisz?

- Nie patrz na mnie wzrokiem niewiniątka. Powiedzieli ci.

- Ale co?

- Że zawsze miałam kota na punkcie różowych diamentów. No jasne...

W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia.

- Przykro mi cię rozczarować, ale to nie jest różowy diament.

- Wiem. Myślałam tylko, że oni specjalnie... Och, nieważne. -

Machnęła ręką i ponownie zaczęła się przyglądać oszlifowanemu szkiełku. - I co z tego, że to tania błyskotka? Jest prześliczna.

Clay pokiwał głową.

- Gdy tylko go zobaczyłem, pomyślałem o tobie.

- Bo jest tak tandetny, że aż uroczy? - zachnęła się.

- Nie. Bo jest piękny, tak samo jak ty.

- Wolne żarty! - Zerwała się z trawy i otrzepała spodnie. - Można powiedzieć o mnie wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że jestem piękna.

- Skąd wiesz? Odwróciła wzrok ku rzece.

- Stąd, że codziennie patrzę w lustro. Clay też się zerwał, chwycił ją za ramiona i obrócił w swoją stronę.

- W takim razie źle patrzyłaś. - Cofnął się o krok i teraz trzymał ją na odległość wyciągniętych ramion. Spojrzał na nią uważnie. - Pozwól, że ja będę twoim lustrem i powiem ci, co widzę.

- Naprawdę nie wydaje mi się...

- Cśśś. - Położył palec na jej ustach. - Twoje lustro zaraz przemówi.

Delikatnie wsunął dłoń w rozgrzane słońcem włosy Kaitlyn.

- Widzę włosy, które błyszczą jak najczystsza miedź, gdy pada na nie światło.

Z zażenowaniem odwróciła głowę, lecz Clay łagodnym ruchem zmusił ją, żeby znów na niego popatrzyła. Nie wyglądało na to, by się przekomarzał, przeciwnie, na jego twarzy malowała się bezbrzeżna czułość.

- Widzę oczy zielone jak szmaragdy, świetliste i pełne życia - ciągnął ściszym głosem. - Widzę...

Impulsywnie dotknęła dłonią jego policzka. Jego skóra była rozgrzana słońcem.

Umilkł.

Serce zabiło jej mocniej.

Zrobił krok do przodu. Pochylił głowę.

- Mamusi, do wody, chodźmy do wody!

Wyprostowali się gwałtownie.

- Mamy towarzystwo - mruknął z głębokim rozczarowaniem Clay, opuszczając ręce.

- Na to wygląda - przytaknęła, po czym uległa pokusie i szybko musnęła jego usta wargami.

Niestety, ten przelotny pocałunek w najmniejszym stopniu nie rozładował panującego między nimi napięcia. Wydawało się, jakby w powietrzu przeskakiwały iskry.

Opanowała się z trudem.

- To co z tym jedzeniem? Jestem straszliwie głodna. Clay popatrzył na jej usta.

- Ja też... Ale chyba nie mam wyjścia, zadowolę się kurczakiem.

Rzeczywiście, nie mieli innego wyjścia w towarzystwie rodziny z trójką małych dzieci. Na szczęście tamci rozłożyli się z piknikiem na tyle daleko, że przynajmniej dało się swobodnie rozmawiać, bez obawy, że ktoś cokolwiek usłyszy.

- Czy słyszałeś o związku Johna z Ramoną? - zagadnęła Kaitlyn, wycierając dłonie serwetką.

- Chodzi o Ramonę Dobbins z działu spedycji? Tę, która koordynuje terminy dostaw?

- Tak. Przyjaźnią się od samego początku, odkąd tylko John przyjechał do Shelby, ale teraz wygląda na to, że znajomość wkroczyła w fazę romantyczną.

- I to cię martwi?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- A niby czemu?

Clay wzruszył ramionami.

- No przecież chodziłaś z nim na randki.

- Bez przesady. Wyszliśmy gdzieś parę razy i na tym się skończyło.

- Chcesz mi więc powiedzieć... - Pochylił się do przodu z nagłym zainteresowaniem. - Sugerujesz, że Ramona jest jego współniczką?

- Oczywiście, że nie - zaprotestowała żywo Kaitlyn. - Chodziłam z nią do szkoły!

Clay nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

- Co w tym takiego śmiesznego? - obruszyła się. Przybrał poważny wyraz twarzy, ale zdradzało go podejrzanе drganie w kącikach ust.

- Rozumiem, że każdy, kto chodził do twojej szkoły, powinien być skreślony z listy podejrzanych? A skoro w Shelby jest jedna szkoła...

Kaitlyn przewróciła oczami.

- Chciałam tylko powiedzieć, że bardzo dobrze znam Ramonę. To uczciwa dziewczyna. Z jakiego powodu miałyby nagle zacząć kraść?

- To ty powinnaś wiedzieć. Podobno znasz tu wszystkich.

- Dobrze, spróbuję ją sprawdzić.

Westchnęła ciężko. Gdy oferowała swoją pomoc, nie przypuszczała, że przyjdzie jej podejrzewać starych znajomych. Teraz jednak nie miała już wyjścia. Przecież obiecała.

Ledwo Kaitlyn zajęła miejsce za biurkiem, gdy Lori obróciła się do niej na krześle.

- No i jak się udał piknik?

Już miała na końcu języka, że dobrze, ale jeden rzut oka na płonąca z ciekawości twarz przyjaciółki przekonał ją, że nie wykpi się tak łatwo.

- Było całkiem przyjemnie. - Mimo woli uśmiechnęła się z rozmarzeniem. - Po drodze kupiliśmy coś do jedzenia w „Czajniku” i urządziliśmy piknik w niezwykle uroczym miejscu nad/wodą.

Lori westchnęła.

- Brzmi romantycznie. Szkoda, że ja nie mogłam siedzieć na słońcu z przystojnym facetem, zamiast łykać kurz w bibliotece i szukać materiałów do artykułu.

- Wiesz już, co z tym ostatnim? Opublikują?

- Nie, jeszcze się do mnie nie odezwali. Ale trzymam kciuki, a nuż się uda?

- Kupią go, zobaczysz. Przecież jak dotąd jeszcze ci nic nie odrzucili.

- Tak, ale tym razem posłałam poważny artykuł problemowy, a nie jakaś notkę. Chodzi o większe pieniądze. A” więc i ryzyko odrzucenia jest większe.

- Myślę, że podoba im się, jak piszesz, lubią twój styl. A skoro tak, to kupią i dłuższy materiał - przekonywała Kaitlyn.

Wiedziała, że Lori też chce się wyrwać z prowincji i coś w życiu osiągnąć. Właśnie dlatego pisywała artykuły do poczytnego magazynu dla nastolatków.

Kaitlyn wróciła myślami do chwili, gdy kończyła szkołę. Wtedy wszyscy snuli plany na przyszłość i byli pełni optymizmu. Jednak niewielu osobom udało się zrealizować swoje dawne zamierzenia, życie okazało się silniejsze od marzeń. Kaitlyn nie dziwiła się, wiedziała aż nadto dobrze, jak łatwo dać się wciągnąć w tryby.

Tym niemniej ona się nie poddała. Nawet wtedy, gdy całe jej życie kręciło się wokół chorego Bena, w nielicznych wolnych chwilach obmyślała kolejne projekty. W najgorszych momentach, kiedy wydawało się, że zmiążdży ją ciężar rzeczywistości, a codzienne obowiązki pochłoną ją bez reszty i wyciągną z niej wszystkie siły, modliła się i nie przestawała planować przyszłości.

A teraz mroczne, pełne wyrzeczeń lata dobiegały końca. Przyszłość była na wyciągnięcie ręki.

Jeszcze tylko trzydzieści pięć dni.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Clay przyszedł z pracy i ciężko opadł na krzesło. Miał za sobą kolejny męczący dzień, który ani trochę nie przybliżył go do celu. Ze znużeniem sięgnął po pilot od telewizora i w tym samym momencie zadzwonił telefon komórkowy. Sprawdził numer na wyświetlaczu.

- Cześć, tato.

- Nie odzywasz się od jakiegoś czasu. Co ty tam właściwie robisz?

- Haruję jak wół, właśnie wróciłem z roboty. Dostajemy coraz więcej zamówień. Wysyłamy piętnaście procent więcej towaru niż o tej samej porze w zeszłym roku.

- Nie o to pytałem. Interesuje mnie wyłącznie twoje dochodzenie. Co zdołałeś wykryć do tej pory?

Clay postarał się, by jego głos zabrzmiał spokojnie i optymistycznie.

- Cały czas zbieram informacje. Na razie nie mam jeszcze żadnych konkretów.

W słuchawce zapadła wymowna cisza. Oczywiście, Clay nie miał wątpliwości co do tego, że ojca irytuje brak postępów. Jego też irytował, i to jak!

Zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem firma audytorska nie miała racji. Może w zakładach w Shelby wszystko szło jak należy, a podejrzenie o kradzież było czystym urojeniem?

- W takim razie, jaki masz plan? - odezwał się ze zniecierpliwieniem ojciec. - Bo zakładam, że jakiś plan masz.

- Za kilka dni idę na przyjęcie, gdzie będą Paul i John, a w dodatku jeszcze jedna kobieta, która być może jest w to jakoś zamieszana. Kolejny krok będzie zależał od tego, czy uda mi się czegoś dowiedzieć podczas przyjęcia.

- Pamiętaj, że nic się nie zrobi samo, Clay. Trzeba brać sprawy w swoje ręce.

Nie odpowiedział, ponieważ rozumiał frustrację taty. Sam też początkowo uważał, że szybko rozwikła problem, a tymczasem okazało się, że potrzebował tygodni, by choć trochę wniknąć w tutejszą społeczność. Kaitlyn miała rację, tu ludzie znali sekrety innych. Na pewno ktoś coś wiedział o interesującej go sprawie. Potrzebował jednak czasu, by do tego kogoś dotrzeć.

- Wiem, że starasz się, jak możesz. I doceniam to -dodał na zakończenie ojciec.

To zapewnienie wcale Clayowi nie pomogło. Nie przyjechał do Shelby, żeby się starać i żeby ojciec go docenił, tylko po to, by złapać złodzieja i wsadzić go za kratki. Proste. Musiał więc popchnąć jakoś wydarzenia do przodu. Zgodnie z tym, co powiedział ojciec, nic nie chciało zdarzyć się samo i wszystko za bardzo się ślimaczyło.

Mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, próbując obmyślić sposób przyspieszenia całej sprawy. Wreszcie po godzinie doszedł do wniosku, że ze spania nici.

Wyskoczył z łóżka, włożył spodenki gimnastyczne, bawełnianą koszulkę i sportowe buty. W ostatniej chwili chwycił jeszcze rozpinany blezer, ponieważ noc była chłodna. Ostrożnie zamknął za sobą drzwi i bezszelestnie zszedł na dół, starając się nie zaalarmować okolicznych psów.

Pogimnastykował się przez parę minut, żeby rozgrzać mięśnie, i ruszył truchtem wzdłuż Apple Boulevard. Po obu stronach ulicy stały stare piętrowe domki, każdy z dużą drewnianą werandą od frontu. Księżyc był właśnie w pełni, więc świecił jasno, a jego zimny blask mieszał się ze złocistym światłem ozdobnych żeliwnych latarni.

Clay minął jakieś dziesięć domów, gdy zauważył w oddali postać samotnej kobiety. Nie mógł rozpoznać rysów twarzy, ale w księżycowej poświacie dostrzegł miedziany odcień włosów, a szczupła figura wydała mu się także znajoma.

Przyspieszył, podobnie jak przyspieszyło jego serce.

Chciał zawołać z daleka, ale w ostatniej chwili zreflektował się.

Przecież wszystkie te psy, które spały na podwórkach, natychmiast rzuciłyby się z ujadaniem na ogrodzenia.

Gdy dzielila ich już tylko jedna posesja, zamachał do dziewczyny i wtedy ona też go poznała. Przyspieszyła jak on i już po chwili stali twarzą w twarz.

- Clay! - przywitała go z wyraźną radością. - Jak to dobrze, że to ty.

Przez moment trochę się bałam. Co ty tu robisz w środku nocy?

- Miałem ochotę zadać ci to samo pytanie.

- Wracam od Johna. Zmarszczył brwi.

- Jak to? Nie odwiózł cię? Pozwolił ci wracać samej po nocy?

- Obawiam się, że nie dałam mu szansy. - Uśmiechnęła się nieco krzywo. - Wyszłam, zanim zdołał się zorientować.

Clay dopiero teraz zauważył, że Kaitlyn miała na sobie tę samą sukienkę co podczas jego pierwszego wieczoru w Shelby. Tę, która tak bardzo mu się podobała. I która była tak cienka, że biedna Kaitlyn miała gęsią skórę na ramionach.

- Zmarzłaś.

Pomasowała sobie ramiona.

- Troszeczkę.

Clay szybko rozpiął suwak, zdjął sweter i podał go Kaitlyn.

- Weź, będzie ci cieplej. Ona jednak pokręciła głową..

- Zakładaj to z powrotem! Jesteś ubrany jeszcze lżej niż ja.

- To prawda - przytaknął, ani trochę nie zdziwiony jej wielkoduszną postawą. - Ale zauważ, że mnie wcale nie jest zimno. - Wyciągnął rękę przed siebie. - Zobacz, ja nie mam gęsiej skórki.

Kaitlyn zawahała się, po czym upewniła się raz jeszcze, czy Clay aby na pewno wie, co robi, a następnie włożyła blezer i zapięła suwak aż po samą brodę.

- Widzisz, że od razu lepiej? - ucieszył się. - Ja mógłbym zostać nawet w samych spodenkach i wcale nie byłoby mi zimno.

Obrzuciła go powątpiewającym spojrzeniem, ale Clay mówił prawdę. Rzeczywiście, było mu gorąco z powodu jej bliskości. Musiał się powstrzymać, by nie porwać jej w ramiona i nie obsypać pocałunkami. I robiło mu się jeszcze goręcej na myśl o tym, że mogło jej się coś stać.

- O co właściwie poszło? - zagadnął, gdy ruszyli w stronę domu.

- Och, o nic wielkiego - rzuciła niedbałym tonem. - John powiedział parę rzeczy, które nie spodobały mi się, a ponieważ nie widział potrzeby, żeby przeprosić, zostawiłam go.

Clay nigdy nie uważał się za osobę ciekawską, ale tym razem poczuł się zaintrygowany.

- A co to były za rzeczy?

- Ma być krótko czy ze szczegółami? - spytała, zerkając na niego z ukosa.

Dodał jej otuchy uśmiechem.

- Opowiadaj ze szczegółami. Mam czas.

- John zapytał, czy nie poszłabym z nim do kina, a potem na kolację. Zdziwiłam się, ale pomyślałam, że to znakomita okazja, by pociągnąć go za język. Chciałam wy badać, jakie stosunki łączą go z Ramoną, i zorientować się, czy ona może być jego współpracowniczką. Jeśli to on, rzecz jasna.

- Świetny plan.

- Też tak myślałam - westchnęła. - Jednak przez cały wieczór ten temat jakoś nie chciał wypłynąć. W drodze powrotnej byłam zdesperowana. Znasz to stare powiedzonko, że nic nie zrobi się samo? Pewnie, że się nie zrobi, trzeba brać sprawy w swoje ręce.

Clay stłumił jęk. Mówiła dokładnie tak jak jego ojciec!

- Postanowiłam, że to ja zacznę mówić o Ramonie. Gdy tylko John rzucił mimochodem, że ostatnio spędzam dużo czasu z tobą, powiedziałam, że on z kolei ostatnio często spotyka się z Ramoną. Nie do wiary! Już jesteśmy w domu.

- Może wejdiesz do mnie na kilka minut i dokończysz swoją opowieść? - zaproponował.

Po chwili wahania skinęła głową. Gdy weszli na górę, z ulgą opadła na

krzesło, a Clay pospieszył do wnętrza kuchennej.

- Chcesz coś do picia? Piwo? Mineralną? Może zrobić ci kawę?

- Nie, nic nie chcę, dziękuję. Usiadł naprzeciwko niej.

- A więc spytałaś Johna o Ramonę. I co?

- Powiedział, że chociaż przyjaźnili się od samego początku, zaczął się z nią umawiać dopiero od niedawna, odkąd ja zostawiłam go na łodzi. I tak naprawdę zależy mu tylko na mnie. Myślę, że John sam nie wie, czego chce. Nie potrafi się odnaleźć w Shelby. Miał tu zacząć nowe życie, a tymczasem wszystko rozegrało się zupełnie inaczej, niż to sobie planował.

- Czy mówił ci, dlaczego rzucił pracę w centrali?

- Nie. Napomknął tylko, że zawsze wszystko musi być tak, jak chce Andrew McCashlin.

Clay starał się nie dać po sobie niczego poznać, ale Kaitlyn zauważyła, że po jego twarzy przemknął cień uśmiechu.

- To prawda? Prezes ma dyktatorskie zapędy?

Zawahał się. Owszem, czasami zdarzało mu się w myślach nazywać ojca tyranem, ale czy to tak do końca odpowiadało prawdzie?

- Nie. On po prostu zawsze ma własne zdanie, ale jak dotąd jeszcze nigdy się nie pomylił. Ma fenomenalną intuicję.

- Wróćmy do Johna. Dzisiaj był bardziej rozmowny niż kiedykolwiek, może przez to wino, które wypiliśmy do kolacji. Zaprosił mnie do siebie i cały czas gadał. Powiedział, że jest sfrustrowany tym, że Paul wyciął mu taki numer i nie odszedł na emeryturę. Zupełnie nie rozumie, jak Andrew McCashlin mógł przymknąć na to oko i zostawić Paula na stanowisku, zamiast zmusić go do odejścia.

- Wygląda na to, że John jest wrogo nastawiony do firmy i do prezesa. Kaitlyn z powątpiewaniem pokręciła głową.

- Szczerze mówiąc, nie jestem o tym przekonana. Może po prostu coś go dzisiaj naszło. Ludzie czasami wygadują różne rzeczy, podczas gdy naprawdę wcale tak nie myślą.

- Dobra, zostawmy to. Mówił coś jeszcze o Ramonie?

- Podkreślał, że to porządna dziewczyna, która bardziej myśli o innych niż o sobie. Clay ściągnął brwi.

- Nie rozumiem. Co to ma do rzeczy? Kaitlyn odchyliła się na oparcie krzesła, wyprostowała nogi i westchnęła ciężko.

- To kamyczek do mojego ogródka. John uważa, że jestem zimna jak lód. Serce w nim zamarło.

- To znaczy... Uważa, że jesteś oziębła? Kaitlyn zachichotała.

- Nic z tych rzeczy! Chodziło mu o to, że nie idę na żadne ustępstwa, gdy chodzi o moje plany na przyszłość. Jego zdaniem jestem bez serca i myślę tylko o sobie. Uważa, że skoro go zostawiłam, nie można na mnie polegać, a na Ramonie tak. Ponadto jestem głupia, zadając się z robotnikiem.

- Nazwał cię głupią? - Clay wycedził z furją przez zaciśnięte zęby. O nim John mógł mówić wszystko, co mu się żywnie podobało, ale nie miał najmniejszego prawa obrażać Kaitlyn! No nie...

- Och, powiedział jeszcze wiele rzeczy, których teraz pewnie żałuje. - Machnęła ręką. - Miałam dosyć, więc prędko wyszłam.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki cię potraktował - upierał się Clay, czując nagle, że chce i musi zaopiekować się Kaitlyn. - Już ja sobie z nim pogadam.

Pochyliła się do przodu i uspokajającym gestem położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie rób tego, to nic nie da.

Wciąż burzył się w środku, ale wiedział, że miała rację.

- Dobra - skapitulował niechętnie. - Tym razem mu daruję, ale jeśli jeszcze kiedyś ośmieli się powiedzieć ci coś nieprzyjemnego...

- To dam mu od ciebie w ucho - dokończyła z iskierkami przekory w oczach.

Śmiech jednak zamarł jej na ustach, gdy Clay delikatnie pogładził ją po policzku.

- Nie, to ja mu dam w ucho - powiedział cicho, nie odrywając spojrzenia od jej oczu. - Dopóki tu jestem, nikt nie ma prawa źle cię traktować.

Miała ochotę przypomnieć mu, że już niedługo go tu nie będzie, ale nieoczekiwanie zaczęła odczuwać trudności w oddechaniu, o mówieniu nie wspominając.

Czuła zapach jego wody kolońskiej, dotyk jego palców i dziwne drżenie wewnątrz ciała.

- Jeszcze z nikim tak się nie czułem - wyznał szeptem Clay, a w jego oczach malowało się niekłamane zdumienie.

- Ja też nie - odszepnęła, równie oszołomiona. Przez cały rok spędzony z Kennym nie doświadczyła niczego równie intensywnego.

- Zostań na noc - poprosił.

Na samą myśl zrobiło się jej gorąco. Nie miała wątpliwości, że noc spędzona w ramionach Claya byłaby wspaniałym przeżyciem, którego nie dałoby się z niczym porównać.

- Zgódź się - przekonywał łagodnie. - Nie odmawiaj mi siebie.

Kaitlyn wzięła głęboki oddech i zwalczyła pokusę.

- Nie mogę - powiedziała z trudem i zmusiła się, by wstać. Miała nadzieję, że Clay zrozumie i nie będzie jej dalej namawiać. Nie czuła się na siłach, by długo się opierać. Jednak odmowa kosztowała ją wystarczająco dużo wysiłku.

- To by tylko wszystko skomplikowało.

Clay przechylił głowę na ramię i popatrzył na Kaitlyn z ukosa takim wzrokiem, jakby mówiła do niego w jakimś obcym języku.

- Co by skomplikowało?,

- Wszystko - powtórzyła. - Wyjeżdżam stąd za niecały miesiąc, ty też wyjeżdżasz, gdy tylko złapiesz złodzieja. Nic nas tu nie trzyma.

- Ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, by wspólnie nacieszyć się tym czasem, jaki nam został.

Kaitlyn ponownie odetchnęła głęboko, wzięła się w garść i umocniła się w swojej decyzji.

- Już i tak będzie mi przykro rozstać się z tobą. Jeśli teraz nie wyjdę, będzie jeszcze trudniej. Nie chcę tego.

Wiedziała, że Clay doskonale ją rozumie. Tym niemniej zapraszającym gestem wyciągnął ku niej otwartą dłoń.

- Nie zrobię nic, co mogłoby cię zranić. Cofnęła się i podeszła do drzwi. W progu odwróciła się na moment i spojrzała Clayowi prosto w oczy.

- Oczywiście, że mi nic nie zrobisz. Nie dam ci takiej szansy.

Zeszła na dół, z każdym krokiem żałując coraz bardziej, że nie została.

Wiedziała jednak, że podjęła słuszną decyzję. Wiedziała też, że jej ostatnie słowa były wierutnym kłamstwem. W chwili gdy zakochała się w Clayu Barretcie, dała mu władzę nad sobą.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Ho, ho, ależ ktoś się zamyślił!

Kaitlyn ocknęła się, słysząc rozbawiony głos. Podniosła półprzytomny wzrok i napotkała pełne przekory spojrzenie Claya.

Ponieważ było pięknie i słonecznie, postanowiła zjeść lunch w parku, zamiast siedzieć w zatłoczonym barze czy w zakładowym bufecie.

Zamierzała trochę popracować, zabrała więc ze sobą kartkę ze spisem zadań, ale zamiast zastanawiać się nad nimi, machinalnie wypisywała na marginesach imię Claya.

Tak, powinna przemyśleć wiele rzeczy, między innymi wykombinować, jak by tu delikatnie wypytać Ramonę, ale jedyne, co ją naprawdę interesowało, to Clay. Nie mogła przestać myśleć o tym, co by było, gdyby przyjęła jego propozycję.

Zanim zdołała się zorientować, porwał jej plan sprzed nosa.

- Co tam masz? - zawołał wesoło, wymachując kartką w powietrzu. - List miłosny? Zrobiło się jej gorąco.

- O, świetnie, że jesteś - zaczęła w nadziei, że odwróci jego uwagę od nieszczęsnej kartki. - Koniecznie musimy porozmawiać.

Obdarzyła go czarującym uśmiechem i podniosła się z ławki. Oceniała, że nie dosięgnie kartki, więc nawet nie próbowała mu jej wyrywać.

Coś jednak musiała zrobić. Jeśli Clay zobaczy swoje imię wpisane dziesiątki razy w idiotyczne serduszka, to ona chyba umrze ze wstydu.

- Coś się stało?

- No właśnie nie wiem. Rzecz w tym, że zacząłeś mnie unikać. Czy to przez tamten wieczór?

- No wiesz! - obruszył się. - Naprawdę masz o mnie tak złe zdanie? Nie odpowiedziała. Grała na zwłokę.

- Nie unikam cię - tłumaczył Clay. - Po prostu ty pracujesz na pierwszą zmianę, a ja na drugą, nic więc dziwnego, że się rozmijamy. - Przystając myśleć o tym, co trzyma w dłoni, opuścił rękę.

Kaitlyn zauważyła, że starannie pominął jeden istotny fakt - ostatniego wieczoru miał wolne. Dowiedziała się o tym przypadkiem.

- Wczoraj wieczorem wpadła do nas Lori. Myślała, że cię zastanie.

- Lubię ją, ale nie jestem zainteresowany.

Zrobił krok do przodu i znalazł się tak blisko Kaitlyn, że dzieliło ich tylko parę centymetrów. Pogładził palcami jej policzek.

- To ty mi się podobasz. Serce zabiło jej szybciej.

- Ale ja wyjeżdżam.

- Wiem - powiedział łagodnym tonem. - Ale to nie przeszkadza, żebyśmy mogli zostać przyjaciółmi. Żebyśmy mogli...

Pochylił głowę i pocałował ją. Gdy Kaitlyn odpowiedziała z równym zaangażowaniem, zapomniał o kartce i pozwolił jej upaść na ziemię, by mieć wolne obie ręce. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło do chwili, gdy Clay delikatnie wypuścił ją z objęć. Serce biło jej w piersi jak szalone. Odsunęła się, sięgnęła po nieszczęsną, zdradziecką kartkę i pospiesznie zmięła ją w kulkę, którą wcisnęła do kieszeni.

- Umówmy się na piątkowy wieczór - zaproponował. •*• Pójdziemy gdzieś się zabawić. Nie będziemy mówić ani o śledztwie, ani o wyjazdach, ani o pracy, ani o karierze. Po prostu miło spędzimy razem czas.

- Nie mogę - powiedziała z żalem Kaitlyn. - Szyję sukienkę dla dziewczyny z sąsiedztwa i obiecałam, że w sobotę skończę. W niedzielę jest quinceanera.

- Qui... co?

Uśmiechnęła się. Sama też do niedawna nie wiedziała, że istnieje coś takiego.

- Quinceanera - powtórzyła. - To taka specjalna ceremonia, która odbywa się wtedy, gdy hiszpańska dziewczynka staje się panną. Właśnie w niedzielę Sabrina skończy piętnaście lat.

Clay przyglądał się jej podejrzliwie.

- Naprawdę nie zmyślam i nie próbuję się wykręcić. To bardzo poważna sprawa.

- I własnoręcznie szyjesz jej sukienkę? - spytał z niedowierzaniem.

- Tak, sama ją zaprojektowałam i sama wykonuję. Będzie niepowtarzalna.

- Miałbym wielką ochotę ją zobaczyć.

W jego głosie brzmiało szczerze zainteresowanie i to ją ujęło.

- Z przyjemnością ci ją pokażę.

- To zajrzę do ciebie w weekend, dobrze?

- Dobrze. Jesteśmy umówieni.

Z uśmiechem skradł jej jeszcze szybkiego całusa na pożegnanie i odszedł, pogwizdując wesoło.

Kaitlyn popatrzyła za nim z westchnieniem. Będzie go jej brakować. Bardzo.

Wyjęła torebkę z szuflady i ze znużeniem przeciągnęła dłonią po czole. Nie znosiła zostawać w pracy do późna, a już najbardziej wtedy, gdy miała przed sobą wyjątkowo pracowitą noc.

Sukienka, którą zaprojektowała dla Sabriny, mogła śmiało konkurować z wyrafinowaną suknią ślubną. Wiedząc, jak wielką wagę ma dla młodej Hiszpanki niedzielna ceremonia, Kaitlyn pozwoliła rozszaleć się swojej wyobraźni. W rezultacie powstała oszałamiająca

kreacja inspirowana hiszpańskim folklorem, zdobiona setkami perłowych koralików. Wykonanie misternego haftu było bardzo czasochłonne, a pośpiech mógł zepsuć cały efekt. Jeśli skończy do północy, to i tak będzie dobrze...

Wyłączyła komputer, ogarnęła wzrokiem biuro, sprawdzając, czy wszystko w porządku, zgasiła światło i przez chwilę stała w ciemności, zastanawiając się, czy Clay nadal chciałby gdzieś z nią wyjść, gdyby jakimś cudem udało jej się skończyć suknię trochę wcześniej. Może zniechęcił się kolejną odmową?

Westchnęła, otworzyła drzwi na korytarz i niemal wpadła na mężczyznę w ciemnym ubraniu. Serce podskoczyło jej do gardła.

Oboje drgnęli nerwowo. - Kaitlyn!

- John! Ależ mnie wystraszyłeś. - Myślałem, że wszyscy już poszli do domu.

Patrzyli na siebie z zakłopotaniem. Johna nie było w mieście przez ostatni tydzień. Wyjeżdżał służbowo. Spotkali się po raz pierwszy od tamtego feralnego dnia, gdy Kaitlyn wyszła od niego, trzaskając drzwiami.

- Poniosło mnie ostatnim razem. Nie byłem sobą. Wy-. baczysz mi?

Wahała się tylko przez moment, po czym kiwnęła głową. Z jednej strony John sporo nabroił i nie powinna pozwolić mu, by wywinał się tak tanim kosztem, ale z drugiej był jej na tyle obojętny, że nawet nie czuła do niego urazy.

- No to świetnie. Powiedz mi, co ty tu właściwie robisz o tej porze?

- Kończyłam sprawozdanie na jutro. A ty?

- Musiałem to i owo załatwić - odparł wymijająco. - Teraz jednak pora, żebym spełnił swój obywatelski obowiązek i przysłużył się społeczności.

Kaitlyn przyjrzała mu się podejrzliwie. O czym on mówi? Jaki obywatelski obowiązek? Nagle zrozumiała, że powiedział to żartobliwym tonem i olśniło ją. W natłoku wydarzeń zupełnie zapomniała o dorocznym festiwalu „Dni Shelby”. Właśnie się zaczynał i miał trwać przez tydzień.

- Obawiam się, że w tym roku uliczne tańce obejdą się beze mnie.

Muszę dokończyć sukienkę dla Sabriny.

- Tę z całą masą koralików?

Skinęła głową, miło zaskoczona, że pamiętał.

- Tak. Wczoraj zrobiłam ostatnią przymiarke. Ojciec Sabriny omal nie popłakał się ze wzruszenia. Wyglądała jak prawdziwa księżniczka. O to mi właśnie chodziło, kiedy wymyślałam projekt.

Zauważyła, że John słucha jej niezbyt uważnie. Raz czy dwa zerknął w stronę magazynów. Może Ramona też pracowała dziś do późna i to ze względu na nią został?

- Miło było cię zobaczyć, ale muszę już lecieć - powiedziała szybko i

odwróciła się, ale John przytrzymał ją za ramię.

- Słuchaj, a gdyby udało ci się skończyć w miarę wcześniej, to może poszłabyś ze mną na te tańce?

- A nie chcesz iść z Ramona?

- Jest dzisiaj zajęta.

Aha, więc mam być nagrodą pocieszenia, pomyślała Kaitlyn, ale wcale nie poczuła się dotknięta. To dziwne, jak obojętne stały się jej relacje z mężczyznami. Z jednym wyjątkiem oczywiście.

- Obawiam się, że nie uda mi się niczego przyspieszyć - odparła z uprzejmym uśmiechem.

- Ja jednak zaryzykuję i wieczorem zadzwonię do ciebie, żeby spytać, jak ci idzie, dobrze? Może jednak zdasz? Chciałbym się jakoś zrehabilitować za tamten wieczór.

- W porządku, zaryzykuj, ale ostrzegam, że masz niewielkie szanse na wygraną. - Roześmiała się. - Zresztą nie wyglądasz mi na hazardzistę. John także się roześmiał.

- Mało mnie znasz.

W jego głosie zabrzmiała jakaś dziwna nuta i Kaitlyn pomyślała nagle, że może faktycznie niezbyt dobrze go znała. Gzy to możliwe, żeby to właśnie John okradał firmę? Czy dla dodatkowych pieniędzy byłby gotów zaryzykować utratę pracy, prestiżu, perspektyw, a nawet i wolności?

Nie, to nie miało sensu. • Ale czy ludzie zawsze zachowują się sensownie?

Za piętnaście jedenasta skończyła przyszywać ostatni połowy koralik. Z ulgą odchyliła się na oparcie kuchennego krzesła, prostując plecy. Gotowe. Każdy ścieg, każdy szew, każdy detal znajdował się na swoim miejscu. ..,*• Kaitlyn uśmiechnęła się z satysfakcją, wstała i pieczołowicie zapakowała sukienkę do dużej przezroczystej torby na ubrania. Gdy ją zamykała, ostatni raz pieścotliwie pogładziła delikatny materiał. Częściowo wzorowała sukienkę Sabriny na zaprojektowanej dla siebie sukni ślubnej. Tylko Sabrina będzie miała we włosach diadem, podczas gdy dla siebie Kaitlyn wymyśliła misternie upięty długi welon.

Zastanowiła się, czy ten projekt nie pozostanie na zawsze jedynie na papierze. Czas upływał. Z wyjątkiem J^ori wszyscy jej przyjaciele pozakładali już rodziny. Dawniej podobne myśli w ogóle nie przychodziły jej do głowy, ale to się zmieniło, odkąd w mieście pojawił się Clay Barrett.

Och, nie, oczywiście nie dlatego, by chciała za niego wyjść! Nie, co za absurdalna myśl! Po prostu zaczęła się zastanawiać, czy nie oczekuje od życia za dużo. Może trzeba było pogodzić się z rzeczywistością, poślubić miłego miejscowego chłopca, z czasem otworzyć mały butik i wieść spokojne życie?

To jeszcze głupsze myśli niż poprzednio! Nie po to przez te wszystkie lata zaciskała zęby i parła do przodu krok po kroku, żeby teraz zacząć się wahać. Widocznie jest przemęczona, i tyle.

Niestety, wcale nie chciało jej się spać. Może zadzwonić do Claya? Na pewno też jeszcze nie śpi o tej porze. Dla niego jedenasta to wczesny wieczór. Może miałyby ochotę zobaczyć, jak ludzie bawią się na ulicach podczas festiwalu w Shelby?

Sięgnęła po słuchawkę telefonu, ale w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Clay, bo któżby inny? Pewnie pomyślał dokładnie o tym samym, co ona i przyszedł zabrać ją na tańce. To niesamowite, że potrafili się tak wspaniale zgrać.

Pospiesznie schowała torbę z suknią do szafy i tanecznym krokiem podbiegła do drzwi. Otworzyła je z uśmiechem, który nagle przygasł.

- John? Ty tutaj?

- Wiem, że miałem zadzwonić, ale pomyślałem, że zaryzykuję jeszcze bardziej i wpadnę.

Ponieważ wciąż trzymała drzwi otwarte, potraktował to jako zaproszenie i wszedł do środka.

- I co? Gotowa?

- Gotowa?

- No, sukienka.

- Tak, przed chwilą skończyłam - powiedziała Kaitlyn, ożywiając się natychmiast. Ponieważ sukienka wyszła lepiej, niż można się było spodziewać, czuła potrzebę pochwalenia się. - Czy chciałbyś zobaczyć moje dzieło?

- Pokaż - zgodził się bez entuzjazmu, spoglądając na zegarek.

Gdy opowiadała o sukni Clayowi, wydawał się naprawdę zainteresowany jej pasją, tymczasem John po prostu starał się być uprzejmy. Owszem, doceniał jej pracę, ale nie o to jej chodziło.

- Może jednak innym razem - zaproponowała lekkim tonem, bagatelizując sprawę. - Późno już, lepiej jedźmy na ; tańce.

John zawahał się.

- Na pewno? Bo jeśli ci na tym zależy, możemy obejrzeć ją teraz.

- Na pewno - zdecydowała.

Gdy John otwierał przed nią drzwi samochodu, nie wytrzymała i zerknęła w stronę garażu. Tak bardzo by chciała, żeby to Clay stał teraz przy niej. I to z Clayem chciałyby tańczyć. Tylko z nim.

Ponieważ główna ulica miasteczka była odgradzona barierkami, Clay musiał zaparkować harleya na jednej z bocznych uliczek.

- Myślisz, że mogę go tu bezpiecznie zostawić? - spytał, rozglądając się podejrzliwie. Uliczka tonęła w ciemności, ponieważ paliła się na niej tylko jedna lampa.

Lori z wdziękiem zeskoczyła z siodełka.

- Jesteś w Shelby - przypomniała mu ze śmiechem. - Tu ludzie

zostawiają domy otwarte i nic się nie dzieje. Kto by tam zabrał twój motor?

Clay schował kluczyki do kieszeni i mrugnął wesoło do Lori.

- Dobra, czemu nie powiesz wprost, że niepotrzebnie panikuję?

- Niepotrzebnie panikujesz - podchwyciła natychmiast. Roześmiali się oboje.

- To fantastycznie, że byłeś w domu, kiedy zadzwoniłam. I że mogłeś przyjechać. Czy wiesz, ile to dla mnie znaczy, że przyjęli mój artykuł do druku i chcą ze mną nadal współpracować? Koniecznie muszę to uczcić! Miałam ochotę zadzwonić po Kaitlyn, ale wiedziałam, że ona jest dzisiaj zajęta.

- Tak, kończy jakąś sukienkę. To dziwne, że poświęca tyle czasu sąsiadce.

- Co w tym dziwnego, że robi coś dla innych? Rodzina Sabriny nie jest zamożna, nigdy by ich nie było stać na taką kreację, jaką na pewno wyczaruje Kaitlyn.

Lori wzięła Claya pod rękę i ruszyli w stronę, skąd dochodziły dźwięki muzyki. Na głównej ulicy miasteczka kłębił się wesoły, kolorowy tłum. Nieopodal znajdował się namiot, gdzie sprzedawano piwo. Kolejka posuwała się bardzo szybko, piwo było wyborne, towarzystwo Lori przemiłe i wszystko byłoby świetnie, gdyby nie brak Kaitlyn. Szkoda, że to nie ona stała teraz przy nim.

- Masz stanowczo zbyt poważną minę jak na taki wieczór - zauważyła Lori, zaglądając mu w twarz. - Muszę cię jakoś rozruszać. Chodź, zatańczymy.

Oczami wyobraźni ujrzał nagle Kaitlyn, siedzącą samotnie w kuchni, zgarbioną przy maszynie do szycia. Zrobiło mu się głupio na myśl, że on ma tu tańczyć i pić piwo, podczas gdy ona tak ciężko pracuje. Powinien był jej zaproponować, że dotrzyma jej towarzystwa. Czemu wcześniej na to nie wpadł?

- Martwisz się czymś? - zatroszczyła się Lori.

Pomyślał, że nie może zawieść kolejnej osoby. Obiecał przecież, że razem uczczą jej sukces. Nie mógł mieć smutnej miny i błądzić gdzieś myślami, psując tym samym dziewczynie wyjątkowy wieczór.

- Ależ skąd - zaprotestował, rozjaśniając twarz w uśmiechu. - Idziemy tańczyć!

Gdy Kaitlyn i John dotarli na miejsce festiwalu, było już dobrze po jedenastej i zabawa trwała w najlepsze.

- Masz ochotę na piwo? - spytał John, wskazując w stronę namiotu.

- Lepiej nie. Jestem tak zmęczona, że alkohol zwali mnie z nóg.

- No i świetnie. Zawiozę cię wtedy do domu i zaniosę do łóżka.

- Chyba nie w tym życiu - odparła żartobliwym tonem, starając się nie urazić Johna, a jednocześnie dać mu jasno do zrozumienia, że nie jest zainteresowana jego propozycją.

W odpowiedzi wzruszył tylko lekko ramionami, jakby przyjął kosza ze spokojną rezygnacją. Kaitlyn odniosła jednak wrażenie, że przez moment widziała w jego oku zły błysk.

John rozejrzał się dookoła.

- Ciekawe, czy spotkamy Lori i Claya - rzucił niby mimochodem.

- Lori i Claya? - zdziwiła się Kaitlyn. - Skąd taki pomysł? Co ty?

John skwitował jej zdumienie pobłażliwym uśmiechem.

- Jak to skąd? Podobno ostatnio często widuje się ich razem.

- Jak to? - wyrwało się jej. Zakłopotana, odchrząknęła i spróbowała odezwać się spokojniejszym głosem: - To znaczy, jak to możliwe? Ona pracuje na pierwszą zmianę, on na drugą, przy takim układzie nie mają raczej szans, żeby się spotykać.

- Dla chcącego nic trudnego - odparł zagadkowo John. - Słyszałem, że Reynolds klei się do niej...

- Co ty mi tu opowiadasz? - zachnęła się. - Przecież oni ledwo się znają.

John kpiąco uniósł brwi.

- Nie trzeba kogoś znać, żeby z nim sypiać.

Poczuła nagłą irytację na widok zjadliwego uśmiešku na jego twarzy. To wszystko były jakieś obrzydliwe pomówienia. Nie wierzyła ani w to, że Clay zaczął podrywać jej przyjaciółkę, gdy ona mu odmówiła, ani w to, że Lori mogłaby z nim sypiać.

- Jak widzę, jeśli chodzi o plotki, jesteś świetnie zorientowany. -

Starła się rzucić tę uwagę nonszalanckim tonem, ale sama słyszała, że głos jej się lekko łamie.

- To nie są żadne plotki. Wszyscy o tym wiedzą - odparł John, biorąc ją w objęcia, ponieważ właśnie rozległa się nastrojowa melodia.

Już miała ochotę spytać, czy wszyscy wiedzą, że to z nią Clay próbował umówić się na ten wieczór, gdy kątem oka spostrzegła błysk platynowych włosów.

- Chyba widziałam Lori - powiedziała, wykręcając głowę.

- Gdzie? - John rozejrzał się w dumie. - Ja jej nie widzę.

Rzeczywiście, wprawdzie w tłumie dało się dostrzec kilka blondynek, ale Lori wśród nich nie było.

- Chyba mi się zdawało - westchnęła i poddała się rytmowi.

Muzyka snuła się miękko i marzycielsko, pary kołysały się wolno.

Kaitlyn oparła głowę na ramieniu Johna, zastanawiając się, jak poprowadzić rozmowę, by jakoś go wybadać. Cały czas nie wiedziała, czy łączy go z Ramoną coś na tyle poważnego, że ewentualnie mogłaby mu pomagać w podejrzanym procederze. Jak by tu nakierować rozmowę na interesujący ją temat?

Chyba najlepiej będzie po prostu powiedzieć, że ostatnio wpadła na Ramonę w sklepie i spytać, czy John...

- Kaitlyn?

Jej serce rozpoznało ten głos jeszcze wcześniej niż ona i podskoczyło gwałtownie.

Podniosła głowę i spojrzała wprost w zaskoczone oczy Claya.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Clay! - wykrzyknęła, rumieniąc się w nagłym poczuciu winy, choć przecież nic złego nie zrobiła. - Co ty tu robisz?

- To zabawne - mruknął, spoglądając z ukosa na Johna. - Miałem ci zadać to samo pytanie.

- Skończyłam sukienkę wcześniej, niż myślałam. John wpadł zobaczyć, jak mi idzie, no i jesteśmy.

- No i jesteśmy jedną wielką, szczęśliwą rodziną - dopowiedziała z radosnym śmiechem Lori, mocniej przyciskając ramię Claya.

Kaitlyn popatrzyła na przyjaciółkę dziwnym wzrokiem, ponieważ zabrzmiały jej w uszach słowa Johna:

„Reynolds klei się do niej...”

Ale czy można było dziwić się temu? Przecież to oczywiste, że Clay wolał Lori. Wystarczył jeden rzut oka, żeby porównać obie dziewczyny.

Kaitlyn w prostej bawełnianej bluzce i nieco znoszonych dżinsach wyglądała zupełnie przeciętnie, podczas gdy jej przyjaciółka

przyciągała wzrok chyba wszystkich obecnych na festynie mężczyzn. Te obcisłe czarne spodnie, ta bluzeczka z kuszącym dekoltem, figura,

włosy, oczy...

Właśnie, oczy. Oczy Lori błyszczały podejrzenie. Kaitlyn przyjrzała się badawczo jej zarumienionej twarzy. Przyjaciółka bardzo rzadko sięgała po alkohol, ponieważ natychmiast uderzał jej do głowy. Wyglądało na to, że tej nocy pofolgowała sobie...

- Piłaś?

- Kto? - Lori wskazała na siebie teatralnym gestem. - Ja?

Kaitlyn wyraźnie poczuła zapach alkoholu. A zatem Lori w obecności Claya odstępowała od swoich zasad... Widać rzeczywiście nieźle się zabawiali.

- Czyli to prawda, co ludzie opowiadają - skwitowała zimno, rzucając Clayowi niechętne spojrzenie. Clay zamarł.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Przestań udawać, dobrze?

- Daj spokój. - John położył dłoń na jej ramieniu, próbując ją zmitygować. Kaitlyn strząsnęła jego rękę.

- Już ja wiem, co o tym myśleć.

Pomiędzy nią a Clayem wytworzyło się niezwykle napięcie. I choć otaczał ich tłum ludzi, wydawało się, jakby byli zupełnie sami.

- Doprawdy? - zdziwił się z chłodną uprzejmością. - A może zechcesz mi wyjaśnić, co takiego masz na myśli?

- Coś jej się wydaje - wtrąciła Lori i zwróciła się do przyjaciółki: -

Słuchaj, wypiliśmy jedno małe piwo, to wszystko. Nie jestem pijana. Mam szampański humor, bo zapłacili mi za ten duży artykuł. Chcę to uczcić, chcę się bawić, jestem taka szczęśliwa!

Te słowa podziałały jak kubek zimnej wody. Kaitlyn przyjrzała się uważniej i dopiero teraz zauważyła, że błyszczące oczy przyjaciółki są jasne i bystre, bez śladu alkoholowej mgiełki. Jeśli Lori była pijana, to rzeczywiście tylko szczęściem.

Zawstydziała się. Na policzki wypłynął jej zdradziecki, gorący rumieniec.

- Strasznie mi głupio.

- Każdy mógł się pomylić - odezwał się zniecierpliwiony John. - To zrozumiałe w takiej sytuacji.

Uciszyła go spojrzeniem, które zazwyczaj posyłała braciom. John nie był bez winy, ale to nie usprawiedliwiała jej zachowania.

- Nie nam pojęcia, co mnie naszło. Lori, bardzo cię przepraszam.

- Ludzie często myślą, że za dużo wypiliśmy, podczas gdy ja jestem zupełnie trzeźwa. - Lori wzruszyła ramionami, ale widać było, że czuje się zraniona.

- Ludziom wolno. Ale ja powinnam wiedzieć lepiej. Jestem twoją przyjaciółką. Jak mogłam cię posądzać?

Jednak Lori potrafiła okazać godną podziwu wielkoduszność i z uśmiechem ucisnęła Kaitlyn za ramię, dając jej do zrozumienia, że nie żywi już żadnej urazy i wszystko jest w porządku.

- O, przestali grać, widocznie zespół zrobił sobie przerwę - zauważyła Lori i skinęła na Johna. - Chodź, jak się pospieszymy, to zdążymy, zanim zrobi się kolejka. Kupimy coś do picia. - Z wesołą miną puściła oko do przyjaciółki. - Oczywiście, mam na myśli wodę mineralną.

Kaitlyn poczekała, aż tamci dwoje oddalą się i dopiero wtedy zwróciła się do milczącego Claya.

- Bardzo mi przykro z powodu mojego zachowania.

- To, że właśnie obraziłaś swoją najlepszą przyjaciółkę i omal nie zepsułaś jej wyjątkowego wieczoru, nie jest moją sprawą. Chciałbym jednak wiedzieć, o co posądzałaś mnie. Kaitlyn widziała w jego oczach taki sam żal jak chwilę wcześniej w oczach Lori. Serce jej się ścisnęło.

- O nic cię nie posądzałam. Myślałam tylko... - Zawahała się.

- Co? - ponaglił niecierpliwie.

- To mnie nie usprawiedliwia, ale John powiedział, że przecież wszyscy wiedzą, że ty i Lori bardzo miło się zabawiacie.

Clay zapłonął gniewem.

- I ty mu uwierzyłaś?

- Nie! To znaczy tak... Och, sama już nie wiem, co myślałam. Ale kiedy zaraz potem zobaczyłam was razem... Z rozdrażnieniem przejechał palcami po włosach.

- Sam już nie wiem, co gorsze. Czy to, że on łże w żywe oczy, czy to, że

bez zastrzeżenia wierzysz w takie oszczerstwa.

- To wszystko dlatego, że było mi przykro, bo poszedłeś z nią na tańce. Myślałam, że wolisz mnie! I że to ze mną chciałbyś tańczyć - tłumaczyła, ale nagle przeraziła się. Jej słowa brzmiały jak dąsy zakochanej szesnastolatki.

Ku jej zaskoczeniu wyraz twarzy Claya złagodniał w jednej chwili, a na jego ustach pojawił się leciuteńki uśmiech.

- Przecież prosiłem, żebyś ze mną poszła. Sama dałaś mi kosza.

- Bo myślałam, że dokończenie sukienki zajmie mi więcej czasu. Kiedy skończyłam i jeszcze nie było jedenastej, chciałam zadzwonić do ciebie, ale akurat wtedy przyjechał John...

- Ja też myślałem, że spędzę ten wieczór w domu, ale zadzwoniła Lori, że nie ma z kim świętować.

- I rzeczywiście jest co świętować - przyznała Kaitlyn. - To był długi artykuł, włożyła w niego mnóstwo pracy. Bardzo się martwiła, czy go opublikują, długo nie odpowiadali. No i proszę, udało się. A ja nawet jej nie pogratulowałam!

- Zdasz. Noc jest jeszcze młoda - pocieszył ją Clay.

Ponad jego ramieniem spostrzegła zbliżającego się Johna, który niósł dwie butelki wody mineralnej. Nie miała pojęcia, czy John specjalnie ją wrobił w nieprzyjemną sytuację, ale nawet jeśli nie, to i tak straciła serce do dalszej zabawy w jego towarzystwie. Nawet jeżeli noc była jeszcze młoda...

- Naprawdę nie chcesz, żebym wszedł?

Kaitlyn ze znużeniem oparła się o kolumnkę werandy. Nie mogła uwierzyć, że facet może być tak mało pojętny. Czy on naprawdę nie rozumiał, że nie miała ochoty spędzać w jego towarzystwie ani jednej chwili dłużej niż to konieczne? A konieczności nie widziała już żadnej, ponieważ John nabrał wody w usta w kwestii Ramony. Tak więc cały ten wieczór należy uznać za stracony.

- Późno już.

John przysunął się bliżej i sugestywnie przejechał palcami po jej ramieniu.

- A co robisz jutro wieczorem?

- Jutrzejszy wieczór mam zajęty - odparta, nawet nie siląc się na złagodzenie odmowy uśmiechem.

Spochmurniał.

- Przez kogo? Przez Claya Reynoldsa?

Na dźwięk tego imienia poczuła gwałtowną pokusę, by zerknąć w okna nad garażem i sprawdzić, czy Clay jest u siebie.

- A nawet jeśli tak, to co?

- Lubisz go, prawda? Widziałem to w twoich oczach. W pierwszej chwili chciała zaprzeczyć, ale doszła do wniosku, że to nic nie da.

- Jeśli nawet, to co? - powtórzyła.

- To zwykły robotnik, przerzuca paczki w magazynie. Takiego faceta chcesz?

- Nie bądź takim snobem - powiedziała spokojnie na pozór, choć w jej głosie pobrzmiwał nieco ostrzejszy ton. - Nie zapominaj, że mój ojciec i moi bracia też pracują w fabryce jako zwykli robotnicy.

- Myślałem, że ty chcesz czegoś więcej. Podobno zależy ci tylko na realizacji własnych planów i nie masz czasu na nic innego. I na nikogo.

- Nadal nie mam czasu na angażowanie się w związek, .pod tym względem nic się nie zmieniło. Ale lubię tego chłopaka i gdybym kogoś sobie szukała, to brałabym go pod uwagę.

- A ja? Czy mnie też brałabyś pod uwagę?

- Naprawdę jest już późno - odparta wymijająco, widząc po jego oczach, że i tak znał odpowiedź na swoje pytanie.

Clay odrzucił kołdrę na bok i wstał z łóżka. Był bardzo zmęczony, ale w żaden sposób nie mógł zasnąć.

Choć spotykał się w życiu z paroma kobietami, żadna z nich nie wywarła na nim takiego wrażenia jak Kaitlyn. I przy żadnej nie czuł się tak jak przy niej. Gdy tego wieczoru zobaczył ją w objęciach Johna, doznał wstrząsu. Opanował się z najwyższym trudem.

Dopiero teraz zrozumiał, że źle zrobił, prosząc ją kiedyś, by została z nim na noc. Tak naprawdę wcale tego nie chciał. Przynajmniej niezupełnie o to mu chodziło. Chciał, żeby z nim została na całe życie. Pragnął jej teraz nawet bardziej niż przedtem, ponieważ pragnął jeszcze jej serca. Tylko jak je zdobyć?

Na zewnątrz rozległo się szczekanie psa. Clay wyjrzał przez okno i wtedy zauważył kładący się na trawniku odbłask. W kuchni paliło się światło.

Serce zabiło mu szybciej. Teraz. Wyciągnął z szuflady koszulkę i szorty, ubrał się i zszedł na dół.

Kaitlyn właśnie nalała sobie szklankę mleka, gdy usłyszała jakiś odgłos. Ostrożnie odstawiła szklankę na stół i nasłuchiwała przez chwilę. Coś jakby skrobało w tylne drzwi.

Skaranie z tym kotem.

Westchnęła, podeszła do drzwi i zniecierpliwionym gestem otworzyła je na oścież.

W mroku zamajaczyła czyjaś twarz.

Dziewczyna cofnęła się gwałtownie, czując, jak serce łomocze jej w piersi. Chciała zatrzaskać drzwi, ale ten ktoś uprzedził ją, blokując drzwi stopą. Popchnęła mocniej. Czy wiedział, że była sama? Czy naprawdę ojciec musiał akurat dziś jechać z wizytą do przyjaciela? I czemu bracia jeszcze nie wrócili?

- Jeśli nie chcesz mnie widzieć, to po prostu mi to powiedz - odezwał się z rozbawieniem znajomy głos. - Nie musisz łamać mi nogi, żebym

zrozumiał.

- Clay! - zawołała z ulgą i czym prędzej wpuściła go do środka. - A co ty tutaj robisz w nocy?

- Nie mieliśmy okazji, by dokończyć rozmowę. Widziałem jakiś czas temu, że John cię odwiózł i pojechał, a teraz zobaczyłem, że w kuchni nadal pali się światło, więc pomyślałem, że skoro oboje nie śpimy, może moglibyśmy pogadać.

- To dlaczego nie zadzwoniłeś normalnie do drzwi?

- Nie chciałem nikogo obudzić.

- Jasne, lepiej mnie przestraszyć. Omal nie dostałam zawału.

Popatrzył na nią z nagłym zatroskaniem.

- Naprawdę tak bardzo cię przestraszyłem? Wcale nie chciałem.

- Może i nie chciałeś, ale udało ci się znakomicie - Kaitlyn przycisnęła dłoń do piersi. - Serce tak mi wali, że nie wiem, kiedy się uspokoi.

- Wybacz. - Posłał jej rozbijający uśmiech i zajął miejsce za stołem. Zauważyła, że włosy odgniotły mu się od poduszki. Jej bracia też tak wyglądali, gdy kładli się spać z mokrą głową, bo nie chciało się im suszyć.

- Przeziębisz się, jak będziesz spał z mokrymi włosami - upomniała go automatycznie.

De razy wygłaszała to zdanie? Bezskutecznie powtarzała je też Benowi. Ale to nie przeziębienia okazały się dla niego groźne...

- Zaraz mi jeszcze powiesz, że nie powinienem pływać po jedzeniu i inne takie. - Clay zachichotał.

- Ach, wy mężczyźni! - Kaitlyn z westchnieniem pokręciła głową, ale nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. - Myślicie, że przesadzamy. Zawsze wiecie lepiej. Ale zapytaj swojej matki, ona powie ci to samo, co ja.

- Moja matka nie żyje - odparł cicho, wbijając wzrok w blat stołu. - Zginęła przed rokiem w wypadku samochodowym.

Kaitlyn usiadła na sąsiednim krześle. Nagle poczuła, że chciałaby dowiedzieć się czegoś o kobiecie, która wychowała takiego syna. Musiała być wspaniała.

- Opowiedz mi o niej.

- A co byś chciała wiedzieć? Wahala się przez chwilę.

- Kim była? Czym się zajmowała? Gdzie pracowała? Clay aż się roześmiał.

- Mama nie miała żadnych ambicji zawodowych. Zarabianiem zajmował się ojciec. Założył własny interes.

- I ona mu tylko pomagała?

- Nie, to też nie. Mama zajmowała się domem i dziećmi, to był cały jej świat i czuła się z tym bardzo dobrze.

- A twój tata nie potrzebował jej pomocy? - spytała Kaitlyn, która pamiętała, że gdy jej wujek otworzył punkt szewski, to ciocia nie

została w domu, tylko pracowała razem z mężem.

- Rodzice mieli tradycyjne poglądy. Tata uważał, że utrzymanie rodziny należy do obowiązków mężczyzny. Kaitlyn w zamyśleniu kiwnęła głową.

- To nie jest zły model, pod warunkiem że obie strony dobrze się czują w swoich rolach.

- Dla moich rodziców to był dobry układ. Tata mógł poświęcić się pracy, a mama troszczyć o dzieci. Dzieci były dla niej najważniejsze.

- A ty chciałbyś mieć dzieci? - wyrwało się jej, ale natychmiast pożałowała tego pytania. Wcale nie chciała znać odpowiedzi.

- Pewnie - przytaknął entuzjastycznie. - Najchętniej dwoje, jednak gdyby moja żona chciała mieć więcej potomstwa, to nie widzę problemu.

- A gdyby w ogóle nie chciała? - spytała Kaitlyn, starając się, by ton jej głosu brzmiał jak najbardziej obojętnie. - Czasami ludzie nie planują posiadania dzieci.

- Wiem, ale przyznam szczerze, że nie rozumiem takiej postawy.

- Powodów może być wiele. Niektórych po prostu nie stać na utrzymanie i wychowanie dzieci. Clay pokręcił głową.

- Nie, nie rozumiem, jak można nie chcieć mieć dzieci! A ty jesteś w stanie to pojąć?

- Ja myślę, że ludzie, którzy nie są do tego przekonani, rzeczywiście nie powinni mieć dzieci - powiedziała, starannie dobierając słowa. - I nie powinni wchodzić w związek z kimś, kto za dziećmi przepada.

- Tak, dobrze to ujęłaś - przytaknął Clay z powagą.

Kaitlyn w milczeniu popatrzyła w jego cudowne orzechowe oczy. Jeśli chciała być z nim absolutnie szczerą, powinna mu teraz powiedzieć, że ona nie chce mieć dzieci. Gdy Ben zmarł na jej rękach, zrozumiała, że nie zniosłaby czegoś podobnego po raz drugi. Nie chciała ryzykować. W dodatku macierzyństwo uniemożliwiłoby jej realizację marzeń.

A jednak na moment uległa pokusie wyobrażenia sobie, jak wyglądałyby ich dzieci. Córeczka miałaby zielone oczy i bardzo jasne włosy. Synek przypominałby tatusia, jak dwie krople wody...

Serce ścisnęło się jej boleśnie.

Dość. Kaitlyn otrząsnęła się, westchnęła i pospiesznie zmieniła temat.

- Skoro pochodzisz z tak tradycyjnej rodziny, to dziwne, że nie pracujesz u twojego taty.

- A ty chciałabyś pracować u swojego ojca? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Niespecjalnie. To znaczy tata jest kapitalny, ale nie do końca traktuje mnie poważnie. Mam poczucie, że nawet gdyby mi stuknęła już pięćdziesiątka, wciąż byłabym jego małą córeczką.

- No to masz gotową odpowiedź - podsumował.

- A czym właściwie zajmuje się twój tata?

- Wieloma różnymi rzeczami naraz - odparł wymijająco.

Kaitlyn nie drażyła tematu. Rozumiała, że ludzie są różni, ale była zadowolona, że ona należy do tych, którzy jasno wiedzą, czego chcą, i starają się dążyć do celu jak najkrótszą drogą. Dzięki temu unikało się wiecznych rozterek. Wystarczyło jedynie mieć cały czas przed oczami cel i odsuwać od siebie wszelkie pokusy o pięknych orzechowych oczach.

Była już prawie druga w nocy, gdy Clay wrócił do siebie na górę. Włączył wentylator i wyciągnął się na łóżku, ale sen nadal nie nadchodził.

Jego myśli nieustannie krążyły wokół Kaitlyn. Nie tylko ją kochał, ale również podziwiał. Była bezgranicznie oddana najbliższym, zdolna do poświęceń, wrażliwa na potrzeby innych ludzi.

Im więcej o niej wiedział, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że ta i żadna inna. Imponowała mu tym, że wiedziała, czego chce, że była wierna swoim marzeniom i z determinacją próbowała zrobić coś ze swoim życiem. A jak on wypadł w porównaniu z nią? Musiał przyznać, że mizernie.

Opływając w dostatki, dorastał we wspaniałej rodzinie, gdzie mama otaczała go bezwarunkową miłością, a sprawiedliwy i niezawodny ojciec nie tylko nauczył go tajników prowadzenia interesów, ale też wpoił mu zasady godnego życia. Trudno byłoby otrzymać więcej. I jak on to wszystko wykorzystał, co z tym zrobił?

Nic.

Owszem, ukończył z wyróżnieniem dwa fakultety i zarządzał filią firmy w Paryżu, czego wielu mu zazdrościło, ale to były łatwiutkie osiągnięcia, które nie wymagały od niego większego wysiłku, bo wszystko miał podane jak na tacy. Sam z siebie niczego nie osiągnął, nie pokazał lwiego pazura. Dotąd uważał, że to z winy ojca, który nie dał mu dość władzy i czasu, by mógł się naprawdę wykazać. Czuł urazę, że ojciec traktuje go jak smarkacza.

I słusznie, bo zachowywał się jak smarkacz. Teraz to widział.

Poczuł, że ogarnia go wstyd. Jak mógł być dotąd tak ślepy? Dlaczego dotarcie do prawdy o sobie zajęło mu tyle czasu?

Dobrze, że mógł przyjechać do Shelby. Tak jak to przewidziała Kaitlyn, znalazł tu czas, by zastanowić się nad sobą i nad swoim życiem. I nad tym, czego właściwie chce.

Niedobrze tylko, że właśnie odkryta prawda o sobie była tak bolesna. Ale to się zmieni. Nie, nie zmieni się samo. On to zmieni. Gdy tylko wróci do Chicago, założy własną firmę i zacznie pracować na swoim. To, czy odniesie sukces, czy poniesie porażkę, będzie zależało wyłącznie od niego samego.

A co z Kaitlyn?

Bez niej każdy sukces będzie mniejszy, a porażka większa. Tylko z nią wszystko będzie takie, jak powinno.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Clay pociągnął łyk piwa i oparł się o barierkę na werandzie przed domem Lori. Na przyjęcie przyszedł razem z Kaitlyn, ale zasugerował, że lepiej będzie się rozdzielić, bo wtedy ich szansę na zdobycie interesujących informacji wzrosną, a tym samym śledztwo posunie się do przodu.

I co z tego, że pomyśl sam w sobie był dobry, skoro mu jej brakowało? Spojrzał tęsknie w stronę trawnika, gdzie Kaitlyn rozmawiała z grupką jego kolegów z magazynu. Gdy jeden z nich, Hank, po przyjacielsku otoczył ją ramieniem, Clay zmarszczył brwi.

- Prawda, że ona dziś ślicznie wygląda? - zagaiła Lori, dostrzegłszy jego posępne spojrzenie.

- Jeszcze jak! - przytaknął, nie odrywając wzroku od smukłej sylwetki. Kaitlyn uczesała się dzisiaj inaczej niż zwykle. Długie włosy upięła w sposób, który uwydatniał klasyczną urodę jej rysów. Żółta sukienka, jeden z jej projektów, miała krzyżujące się na dekolcie ramiączka, co wyglądało bardzo interesująco. Do tego stopnia, że Hank nie odrywał wzroku od biustu dziewczyny.

Clay zacisnął dłoń w pięść.

- Nie przejmuj się. - Lori poklepała go po ramieniu, dodając mu otuchy. - Jesteś jedynym facetem, na którym jej zależy.

Dopiero teraz popatrzył na nią.

- Skąd taka pewność?

- Znam ją od lat. Wiem, jak to jest, gdy się zakocha. Jeśli Lori chciała go pocieszyć, to trafiła jak kulą w płot.

- Mówisz o tym, jak mu tam, Kennym?

- Aha. To był poważny związek. Wszyscy myśleliśmy, że to właśnie to.

A tu nic z tego nie wyszło.

- Dlaczego? Co takiego właściwie się stało? Lori zastanowiła się, popijając mineralną.

- Trudno powiedzieć. Kaitlyn twierdziła, że nie zgrali się w czasie.

- Jak to nie zgrali się w czasie?

- To było ładnych parę lat temu, ona akurat kończyła szkołę, on chciał się żenić. Uznała, że ślub przeszkodzi jej w wyrwaniu się z prowincji i ułożeniu życia po swojemu. Kenny albo kariera. Pa, pa, Kenny! Tak po prostu. - Lori pstryknęła palcami.

Clay popatrzył na nią w milczeniu.

- Czy to ostrzeżenie?

- Próbuje ci tylko powiedzieć, żebyś jej do niczego nie przynagłał. Tydzień temu na tańcach zrozumiałam, jak bardzo jej się podobasz. Do tej pory Kaitlyn mydliła wszystkim oczy, powtarzając, że wcale jej na tobie nie zależy. Zależało jej od samego początku i to nawet bardziej, niż sama przypuszczała.

- Lorelei Loveland, wszędzie cię szukałem!

Clay odwrócił się z irytacją na dźwięk męskiego głosu. Czemu ktoś musiał im przerywać akurat w najważniejszym momencie?

Przed nimi stał dyrektor generalny zakładów McCashlin Enterprises w stanie Iowa. W barwnej kraciastej koszuli i spodniach khaki nie wyglądał na sześćdziesiąt parę lat.

- Paul, tak się cieszę, że przyszedłeś! - rozpromieniła się Lori.

- A czy ja kiedykolwiek opuściłem choćby jedno z twoich przyjęć? - spytał żartobliwym tonem i przeniósł spojrzenie na Claya.

- Ach, właśnie, poznaście się - zmitygowała się Lori. - Paul, poznaj Claya Reynoldsa, który jest w Shelby od kilku tygodni i pracuje u nas w magazynie, a na przyjęcie przyszedł z Kaitlyn.

- Wszystkie ważne plotki w jednym zdaniu! - roześmiał się Paul.

Lori uroczo zmarszczyła noseć.

- Clay, ten nieznośny człowiek to Paul Novak, nasz genialny dyrektor generalny. Podali sobie ręce.

- Miło mi cię poznać. A więc przyszedłeś tu z Kaitlyn?

Clay nie wiedział, czy Lori wspomniała o tym, żeby stworzyć jakiś punkt zaczepienia do wspólnej rozmowy, czy po to, by Paul wiedział, że nic ją z Clayem nie łączy. Paul co prawda mógłby być jej ojcem, ale patrzył na nią w sposób zupełnie nie ojcowski.

- Tak, panie dyrektorze - odparł, ponownie kierując spojrzenie w stronę trawnika.

- To wspaniała dziewczyna. I świetny pracownik. Szkoda mi będzie ją stracić.

Clay zrozumiał, że nadarza się być może jedyna okazja, by pociągnąć Paula Novaka za język.

- Z tego, co wiem, pracuje pan w McCashlin Enterprises od dawna - zagaił niezobowiązująco.

- Prawie dwadzieścia lat. Drew i ja znamy się jeszcze ze studiów. Już wtedy wiedziałem, że mój kumpel daleko zajdzie i wiele osiągnie.

- Ale czy w takiej wielkiej firmie naprawdę dobrze się pracuje? To znaczy, czy pracownik nie czuje się jak trybik w maszynie, a nie jak człowiek?

Paul pokiwał głową.

- Czasami tak się zdarza, ale nie w tym przypadku. Drew zawsze pamięta o ludziach, do każdego ma indywidualne podejście. Nigdy nie żałowałem, że u niego pracuję.

- Słyszałem jednak, że chce pan odejść - zauważył Clay.

Dyrektor wykonał nieokreślony gest.

- Tak, zamierzałem przejść na emeryturę, ale zmieniłem zdanie. Nie mogłem.

- A czy wolno spytać o powód? Normalnie Clay nie byłby tak natrętny, jednak dla dobra śledztwa musiał zapomnieć o grzeczności.

- Cóż, przydałoby się zarobić na nowy samochód - zażartował Paul. - A prawda jest taka, że po prostu wrosłem w to miejsce. Trudno mi tak zwyczajnie wyjść i wszystko zostawić. To są lata mojej pracy.

- Ja nie potrafię nigdzie zagrzać miejsca. Nigdy nie byłem gdzieś aż tak długo, żeby się przywiązać.

- Mam nadzieję, że to się zmieni. Clay pytająco uniośł brwi.

- Może zostaniesz u nas? Mamy dobrych pracowników, zapewniamy dobre warunki. Kto wie, czy się nie przekonasz.

W tym momencie dostrzegł Paula jakiś wysoki łysiejący mężczyzna, który stał w pobliżu z grupką gości. Zawołał go i wykonał zapraszający gest.

- Miło było cię poznać, Clay. Gdybyś kiedyś czegoś potrzebował, zgłoś się do mnie. - Paul klepnął Claya po ramieniu i poszedł do znajomych. Ponieważ Lori ulotniła się podczas ich rozmowy, Clay został sam.

- I co myślisz? - rozległo się za jego plecami. Odpowiedział z uśmiechem, zanim jeszcze zdążył się odwrócić:

- Myślę, że wyglądasz cudownie. Kaitlyn roześmiała się.

- Bądź poważny! Pytam, co myślisz o Paulu?

- Możemy go wykreślić z listy podejrzanych. Lojalny wobec firmy aż do bólu. Z McCashlinem znają się od lat.

- Też jestem zdania, że trzeba go wykreślić. Nigdy bym go nie podejrzewała o dokonywanie kradzieży.

- A jednak trzeba było go sprawdzić. Czasem właśnie najmniej podejrzana osoba okazuje się sprawcą. Perspektywa łatwych i szybkich pieniędzy może znieść niejednego. Nawet człowieka, który wcześniej zawsze był uczciwy.

Kaitlyn ściągnęła brwi.

- A ty byś się posunął do kradzieży, gdybyś miał możliwość szybkiego zarobku?

- Powiedziałem niejednego, a to nie znaczy przecież, że dla każdego kradzież jest pokusą. Są ludzie, którzy nie są do niej zdolni, i do nich się zaliczam. Są też niestety i tacy, których wolę łatwo złamać. Mogą o tym zdecydować różne czynniki i właśnie nad nimi się zastanawiam.

- Hmm... Słyszałam, jak jacyś znajomi umawiali się z Johnem w kasynie - przypomniała sobie. Clay ożywił się.

- Hazardziści często popadają w długi. John miałby zatem motyw.

- Teoretycznie tak. Nie pamiętam jednak, by kiedykolwiek wspomniał o jakiejś przegranej.

- Bo ludzie niechętnie przyznają się do porażek, za to wygranymi

chwala się na prawo i lewo.

- Chyba muszę z nim porozmawiać - podsumowała Kaitlyn z ociąganiem. - Proponował kiedyś, byśmy popływali razem łódką. Powiem mu, że się namyśliłam.

- Dobra. Ja poszukam Ramony.

- A co, jeśli wszystkie nasze wysiłki spełzną na niczym?

- Wtedy zastosujemy inną metodę - odparł Clay niefrasobliwie.

- To znaczy jaką?

- Jeszcze nie wiem. - Wzruszył ramionami. - W każdym razie nic nie zrobi się samo. Trzeba brać sprawy w swoje ręce.

Godzinę później Clay doszedł do wniosku, że najwyższy czas wdrożyć nową metodę. Kaitlyn nic nie wskórała z Johnem, a on jak dotąd niewiele dowiedział się od Ramony.

- Mówiłam ci już, że kupiłam sobie nowy samochód? - spytała Ramona, a jej oczy aż zaśniły.

- Jaki? - spytał, biorąc z półmiska kolejną tartinkę z wędliną.

- Ostatni model lexusa.

Clay omal się nie udławił z wrażenia, ale nie dał po sobie nic poznać. Jego przyjaciel Marshall kupił sobie taki model na wiosnę. Z całą pewnością nie był to samochód, na który mogła sobie pozwolić skromna urzędniczka.

- Fajny wozik - przyznał. - Jaki kolor?

- Perłowy - powiedziała dziewczyna z rozmarzeniem. - Z kremowym wnętrzem.

Clay popatrzył na talerz w poszukiwaniu czegoś, czym trudno się udławić.

- Czemu wybrałaś właśnie lexusa?

- Zawsze mi się podobały, no i w końcu pomyślałam, że raz kozie śmierć.

- I słusznie! Dlaczego tylko bogaci mają mieć to, co chcą? My też ciężko pracujemy. Też mamy prawo mieć coś z życia - podsunął prowokacyjnie Clay.

Wiedział, że nie wolno tak podjudzać drugiego człowieka, ale zaczął popadać w desperację i uznał, że w tym przypadku cel uświęca środki.

- Właśnie! - Ramona energicznie skinęła głową. - Dokładnie to sarno powiedziałam Johnowi.

- A on co? Zgodził się z tym?

- Tak. Na początku miał zastrzeżenia, ale przekonałam go, że trzeba też myśleć o sobie. Jak człowiek sam się o siebie nie zatroszczy, to nikt inny o niego nie zadba.

- A już na pewno nie pracodawca - odpowiedział w nadziei, że grając na jej emocjach, skutecznie rozwiąże jej język.

Trafił w dziesiątkę.

- A żebyś wiedział! Weź na przykład mnie. Pracuję dla zakładów

McCashlina od dziesięciu lat, od chwili gdy skończyłam szkołę. Nie umiem nic innego. Myślałam, że przepracuję tu całe życie. A teraz nagle słyszę, że mają wprowadzić jakiś automatyczny system koordynacji dostaw i zlikwidować moje stanowisko.

W jej głosie brzmiała głęboka uraza. Clay pogratulował sobie w myślach. Wreszcie coś się działo. Ramona zaczynała się rozgadywać.

- Założę się, że musiałaś być diabelnie zła, jak ci to powiedzieli.

- Gorzej. Poczulałam się zdradzona. Do tego momentu naprawdę utożsamiałam się z firmą i wykonywałam moją pracę z pełnym zaangażowaniem, ale teraz zupełnie straciłam do tego serce. Jak mnie nie chcą, to mnie też nie zależy.

- Pracodawcom nie zależy na ludziach, tylko na forsie, jaką z nich wyciskają. Dlatego musimy sami dbać o nasze interesy. - Dolał oliwy do ognia.

Ramona popatrzyła na niego uważnie i zawahała się.

- Słuchaj, to nie jest tak, że ja cię próbuję zniechęcić do naszej firmy. Chcę ci tylko uprzytomnić, że nawet jak już dostałeś tę pracę, nie możesz czuć się pewnie. W każdej chwili możesz znaleźć się na bruku, i to zupełnie niezależnie od tego, jak bardzo będziesz się starał. Jeśli ktoś wpadnie na pomysł kolejnych zmian, to ani się obejrzysz, jak przestaniesz być potrzebny.

- Akurat o mnie nie musisz się martwić - zapewnił ją. - Ja tam nie jestem specjalnie lojalny wobec pracodawców, więc nawet jak mnie wyleją, to się nie zmartwię.

- Wiem, domyśliłam się.

- Domyśliłaś się? - Ze zdumieniem uniósł brwi. - Jak?

- To proste. Powinieneś być teraz w pracy, a bawisz się na przyjęciu. Jak to załatwiłeś? Powiedziałeś, że jesteś chory?

Wzruszył ramionami.

- To pierwsze przyjęcie w Shelby, na jakie mnie zaproszono. Chciałem przyjść, poznać ludzi. Ale inni też byli zaproszeni i nikt nie dał się namówić na zamianę. To co miałem zrobić?

- Zachowam tę informację dla siebie. - Życzliwym gestem uścisnęła go za ramię. - Oczywiście nie mogę ręczyć za innych. Zawsze ktoś może cię wsypać. Nigdy nie wiadomo, komu można ufać.

Nic nie robi się samo, trzeba brać sprawy w swoje ręce.

Teraz.

- A ja myślę, że tobie można zaufać. - Clay łagodnie pociągnął ją za sobą w kątek werandy, gdzie nikt nie mógł usłyszeć, o czym rozmawiają.

- Ramona, mam dla ciebie propozycję.

- Tak? A co to za propozycja?

- Jest taki jeden facet w Omaha, który deklaruje, że kupi każdą ilość mikroprocesorów, jaką mu dostarczę - wyjął, ścisząc głos. - Nie interesuje go, skąd je wezmę. Żadnych pytań i żywa gotówka do ręki.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Mówisz o kradzieży mikroprocesorów?

- Przede mną nie musisz udawać - przekonywał. - Przecież wiem, że twój wujek Fred wyleciał z pracy, bo wiedział o tym, co się dzieje w magazynie.

- Za to ja nie wiem, o czym mówisz. Była tak zszokowana, że na moment zbiło to Claya z tropu. Czyżby pomylił się, podejrzewając ją?

- Chłopaki mówią, że jak Fred sobie popił, to czasem mu się wyrywało, że trochę towaru ginie, ale tak naprawdę to wcale nie ginie, tylko zmienia właściciela. I że on wie, kto podwędza mikroprocesory, ale za nic w świecie nie doniesie na tę osobę.

- I uważasz, że to ja jestem tą osobą? - Głos jej się lekko załamał, ale Clay nie dał się zwieść. Nawet nie próbowała powiedzieć, że to wszystko kłamstwa.

- To chyba zrozumiała, że wuj ochrania ukochaną siostrzenicę.

- Nie zamierzam tego dalej słuchać. Odwróciła się, ale złapał ją za ramię i nie pozwolił odejść.

- Też chcę w to wejść. Niby czemu tylko ty masz mieć nową brykę? Ramona przez chwilę przyglądała mu się bez słowa.

- Naprawdę chcesz okradać swojego pracodawcę?

- Andrew McCashlin ma forsy jak lodu, na biednego nie trafi. - Roześmiał się cynicznie. - Ja też chciałbym trochę pożyć.

- Nie rozumiem, po co mi to wszystko mówisz. Czemu tego po prostu nie zrobisz?

- Bo potrzebuję wspornika. Znasz procedury, terminy, zabezpieczenia, jednym słowem wszystko.

- A jeśli odmówię? - spytała hardo.

Clay musiał przyznać w duchu, że miała odwagę.

- Wtedy nasię policję na twojego wujka. Są świadkowie tego, co wygadywał po pijaku. Gliny już wszystko z niego wycisną.

Przeszyła go zimnym spojrzeniem.

- Nie podoba mi się ten pomysł.

- Daj spokój, ubijmy interes - nalegał.

- Ramona! - John stał przy bufecie, próbując zabrać jednocześnie parę talerzy z kanapkami. - Czy mogłabyś mi pomóc?

- Już! - odkrzyknęła i przeniosła spojrzenie na Claya.

- Muszę iść.

- Rozważ moją propozycję - przypomniał z naciskiem.

- Może nawet zapytaj Johna, co myśli na ten temat.

Zmierzyła go takim wzrokiem, jakby widziała go po raz pierwszy. Clay przysięgłby, że w jej oczach pojawiło się rozczarowanie. Jednak chwilę później to wrażenie minęło i doszedł do wniosku, że coś mu się wydawało.

- Dobrze, pomyślę o tym.

Co prawda nie udało mu się wyciągnąć z niej jednoznacznego przyznania, że ona i John tkwią w tym procederze po uszy, ale to była tylko kwestia czasu. Co do tego nie miał wątpliwości. Uśmiechnął się z satysfakcją.

Tak, tata miał rację. Trzeba brać sprawy w swoje ręce.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Jak myślisz, dlaczego Ramona w ogóle nie próbowała skontaktować się z tobą? - Kaitlyn siedziała po turecku na podłodze w pokoju Claya. Nie lubiła zarywać nocy, bo następnego dnia była półprzytomna, ale ponieważ Clay pracował na drugą zmianę, mogli rozmawiać dopiero koło północy. - Przecież minął cały tydzień.

- Wiem. - Clay usiadł obok niej i ze znużeniem przeciągnął dłonią po twarzy. - Myślałem, że sprawa jest już praktycznie rozwiązana. Na przyjęciu u Lori Ramona nie zająknęła się ani słowem, że bierze tygodniowy urlop.

- No dobrze, przecież dzisiaj już wróciła.

- Niby tak, ale przez większość czasu siedziała u Paula w gabinecie.

- Ciekawe, po co ją wezwał? Może waha się, czy wprowadzić ten automatyczny system koordynacji dostaw i sprawdza, czy jednak człowiek nie nadaje się lepiej do tej pracy?

- Nie mam pojęcia.

W jego głosie zabrzmiało takie zniechęcenie, że Kaitlyn popatrzyła badawczo.

- Hej, a gdzie się podziała twoja pewność siebie?

- Poszła czekać - mruknął, oparł się o kanapę i zamknął oczy. Na jego twarzy malowało się zmęczenie. - Mecz trwa już długo, a ja jeszcze nie wbiłem przeciwnikowi gola.

Ogarnęło ją głębokie współczucie. Rozumiała dobrze, że Clay nie chce zawieść pokładanego w nim zaufania i musi za wszelką cenę rozwikłać problem kradzieży. Gdyby tylko mogła zrobić cokolwiek, żeby poprawić mu humor...

I nagle przyszło jej na myśl, co może dla niego zrobić, by go odprężyć. Uśmiechnęła się promiennie. No proszę, nie podejrzewała siebie o takie pomysły...

- Ściągnij koszulę - zażądała. Clay wyprostował się z wrażenia i popatrzył na nią w zdumieniu.

- Co takiego?

- Zdejmuj koszulę - powtórzyła, zacierając dłonie. - Pora na masaż.

- Ale dlaczego?

- Nie dyskutuj, tylko rób, co mówię. Chyba nie chcesz, żebym cofnęła propozycję?

Natychmiast ściągnął koszulę przez głowę.

- Co teraz?

Sięgnęła po poduszkę i rzuciła ją na podłogę.

- Kładź się.

Położył się na brzuchu, a Kaitlyn zauważyła, że na tle zieleni dywanu jego opalona skóra wygląda jeszcze bardziej pociągająco.

Przysunęła się i aż przebiegły ją ciarki, gdy położyła dłoń na jego plecach. Na boku wciąż widniały ślady po wypadku spowodowanym przez jej ojca.

- Nie byłam chyba dla ciebie specjalnie miła, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy - zauważyła.

- To było dawno - zamruczał jak kot, gdy zaczęła mu rozmasowywać napięte mięśnie. - Po co o tym wspominać?

- Za niecałe dwa tygodnie wyjeżdżam z Shelby - przypomniała mu. - Jeśli uda ci się pomyślnie rozwiązać sprawę, to może nawet wyjedziesz jeszcze wcześniej. Wolę, żeby nie było między nami żadnych niedokończonych spraw.

Nagłym ruchem obrócił się na plecy i spojrzał jej prosto w oczy.

- Ja też tego nie chcę. Żadnych niedokończonych spraw.

Nie zaprotestowała, gdy ujął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

Położyła głowę na jego piersi, wsłuchując się w bicie jego serca. Clay delikatnie gładził ją po włosach.

- Będzie mi ciebie brakować - wyszeptała.

- Kocham cię, Kaitlyn - odpowiedział cicho. - Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem.

Z rozpaczą zacisnęła powieki. Wiedziała, że teraz jeszcze trudniej będzie im się rozstać.

- To niczego nie zmienia. Zaczął całować jej włosy.

- Naprawdę?

Miała tak ściśnięte gardło, że nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Wzięła się jednak w garść i wstała, nie zważając na protesty Claya.

- Nie idź jeszcze. Proszę.

Ale ona potrząsnęła głową. Miała swoje plany, w których nie przewidziała miejsca na miłość.

„Kocham cię”.

Wpatrywała się w monitor komputera, ale nic nie widziała. Przez cały ranek w jej głowie rozbrzmiewały te dwa słowa, przeszkadzając w pracy. Przez cały ranek odsuwała je od siebie i próbowała skoncentrować się na zadaniach, jakie tego dnia miała wykonać. Teraz jednak w biurze zapanował zdradziecki spokój. Lori wyszła na spotkanie służbowe, a telefon milczał od kwadransa. Myśli o Clayu powróciły ze zdwojoną siłą.

Podobno pierwszym krokiem na drodze do uporania się z problemem jest przyznanie, że taki problem w ogóle istnieje. No więc dobrze, miała problem. Była po uszy zakochana w przystojniaku nazwiskiem

Clay Barrett. Gdy wyznał jej miłość, omal nie odpowiedziała mu tym samym.

Romantyczna część jej duszy, która rozrzewniała się na filmach o miłości i uwielbiała szczęśliwe zakończenia, podpowiadała jej, żeby zaryzykować i również wyznać swoje uczucie. Wierzyła, że miłość pokona wszelkie przeszkody, a nawet opór wobec posiadania dzieci. Jednak część pragmatyczna ostrzegała, że lepiej niczego nie ujawniać. Kaitlyn posiadała już pewną dozę życiowej mądrości. Wiedziała o rafach, o które miłość tak łatwo może się rozbić. Zdawała sobie też sprawę, że w życiu nikt nie udziela gwarancji na szczęśliwe zakończenie.

Przez tyle lat ciężko pracowała, dążąc do wymarzonego celu i teraz miałyby to wszystko poświęcić dla faceta, z którym być może wcale jej się nie ułoży?

Oboje mieli zbyt duże oczekiwania, a to nie rokowało dobrze. Kaitlyn chciała robić karierę jako projektantka mody, nie zamierzała siedzieć w domu, czego zapewne spodziewałby się Clay, wychowany w rodzinie przestrzegającej tradycyjnego podziału ról. Pamiętała, jak chwalił matkę za poświęcenie dla dzieci i domu, co umożliwiło jego ojcu rozkręcenie własnego interesu. Clay też chciał mieć własną firmę, więc pewnie liczyliby na podobną pomoc żony.

Nie, ona nie porzuci swojej drogi i nie da się zamknąć w czterech ścianach. Zupełnie nie nadaje się na życiową partnerkę Claya.

Odchyliła się na oparcie fotela i w desperackim geście zatopiła palce we włosach. Jak to się mogło stać? Jak mogła dopuścić, by sprawy tak się skomplikowały? Przecież wszystko szło już tak gładko...

Następnego ranka w całym zakładzie panowała atmosfera dziwnego podniecenia. Kaitlyn zauważyła, że ludzie rozmawiają o czymś z wielkim ożywieniem. Nie miała jednak czasu na dopytywanie się, o co chodzi, ponieważ musiała punktualnie zjawić się na swoim stanowisku pracy. Nigdy się nie spóźniała.

- No, jesteś wreszcie! - Lori aż zerwała się z miejsca, gdy przyjaciółka weszła do biura. - I co ty na to?

- Jeszcze nic, bo nie wiem, co się stało. - Kaitlyn odstawiła torebkę na biurko i wyłączyła swoją prywatną komórkę.

- Paul zrezygnował.

- Jednak odchodzi na emeryturę? - zdumiała się.

- Na to wygląda. Z samego rana ogłosił, że to jego ostatni dzień w pracy. Podobno ma już na jutro bilet lotniczy na Bahamy.

- Skąd taka nagła zmiana? - zastanawiała się na głos Kaitlyn. -

Przecież jeszcze na przyjęciu u ciebie mówił Clayowi, że nie zamierza na razie odchodzić. Wczoraj jakby nigdy nic omawiał coś długo z Ramoną, pewnie ten nowy automatyczny system koordynacji dostaw.

- O czym ty mówisz? Przecież odłożono ten pomysł co najmniej do

przyszłego roku.

- No to niby nad czym debatowali tyle czasu? Lori wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, może gadali o Fredzie. Ramoną siedziała przecież u swojego wujka przez ten tydzień. Oni znają się z Paulem od wieków. Kaitlyn zamarła.

- Czekał, czy to ten Fred Sheets, który kiedyś pracował w magazynie?

- Aha. Fred był tutaj w ogóle jednym z pierwszych pracowników. Paul bardzo go lubił.

- No, nie wiem. Przecież go zwolnił.

Lori w zakłopotaniu zaczęła się wiercić na krześle.

- Wcale tego nie chciał, ale Fred pił w pracy. Paul dał mu drugą szansę, nadaremnie. Wylał go, bo nie miał innego wyjścia.

Kaitlyn przypomniała sobie, co Clay powiedział jej o rozmowie z Ramoną. Był absolutnie przekonany, że stary Fred chronił właśnie ją. A jeśli nie chodziło o członka rodziny, tylko o starego, dobrego przyjaciela?

Serce zabiło jej szybciej.

- Skąd ten pomysł z wyjazdem akurat na Bahamy?

- Może jedzie do syna. O ile dobrze pamiętam, Nick mieszka na jednej z wysp. Naprawdę nie wiem, ledwo zdążyłam zamienić z Paulem dwa słowa. Gdy przysłam do gabinetu, był zajęty pakowaniem. Bardzo się spieszył.

- Ale wylatuje dopiero jutro, tak?

- Tak, z samego rana.

Kaitlyn sprawdziła godzinę. Jeśli się pospieszy, to może jeszcze zdąży. Zerwała się, chwyciła torebkę i już była przy drzwiach.

- Jakby ktoś pytał, dostałam migreny i musiałam iść do domu.

Lori roześmiała się.

- Co ty kombinujesz?

- Muszę się z kimś zobaczyć. Z kimś, kto jest starym, dobrym przyjacielem.

Kaitlyn zjawiała się w „Czajniku” przed Ramoną, zajęła stolik w rogu i zamówiła cały dzbanek kawy.

- Pomyślałam, że tu będzie można porozmawiać swobodniej niż w pracy - wyjaśniła, starając się nie okazywać zdenerwowania. Była bardzo spięta. Wiedziała, że wszystko zależy od tej rozmowy.

- O co chodzi? - Ramoną usiadła za stołem. - Co jest nie tak w moich papierach?

- Nie gniewaj się, proszę, powiedziałam tak tylko po to, żeby cię tu ściągnąć.

- Czy to ma jakiś związek z Reynoldsem? - spytała Ramoną z błyskiem gniewu w oczach. - Chodzi i rozsiewa ohydne kłamstwa na mój temat, tak?

Kaitlyn wykonała uspokajający gest dłonią.

- Chwileczkę. Wyjaśnij mi, czemu miałby to robić.

- Na przyjęciu u Lori oskarżył mnie o okradanie firmy. Powiedział, że on też chce w to wejść i mieć swój udział. Próbowałam mu wyjaśnić, że się myli, ale nie chciał mi uwierzyć.

- Bo nie kradłaś, prawda?

- Oczywiście, że nie! - odparła Ramona podniesionym głosem, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce oburzenia. - Nigdy w życiu nie sięgnęłam po cudzą własność! Jak w ogóle możesz zadawać mi takie pytanie? Tyle lat mnie znasz i mówisz coś takiego?

Kaitlyn zachowała nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Ciekawe, co mu podsunęło tę myśl? Ramona westchnęła ciężko.

- Nie wiem. Może ten nowy lexus.

- Swoją drogą, jakim cudem było cię stać na taki samochód?

- Mój kuzyn jest dealerem lexusa w Nebrasce. Sprzedał mi go na raty na fantastycznych warunkach. Kaitlyn poczuła, że kamień spadł jej z serca.

- A do tego wszystkiego odniosłam wrażenie, że Clay posadza Johna o to, że jest moim wspólnikiem. Mówię ci, czysty absurd! Przecież John jest najuczciwszym człowiekiem na świecie.

- Trudno zaprzeczyć - przytaknęła Kaitlyn, bardzo uważnie dobierając słowa. - Ostatnio jednak John, delikatnie mówiąc, czuł urazę do firmy.

- To jeszcze nic nie znaczy. Nawet jeżeli tak było, czy od razu miał się dopuścić kradzieży?

- Ale motyw jest... - podsunęła Kaitlyn.

- Ktoś inny też może mieć motyw. Może nawet poważniejszy - zauważyła zagadkowo Ramona.

Kaitlyn zacisnęła palce na filiżance i skoncentrowała się jeszcze bardziej.

- Ktoś taki jak, powiedzmy, Paul? Ramona bez pośpiechu posłodziła kawę.

- Może.

- A tak przy okazji, to o czym z nim wczoraj rozmawiałaś?

- O tym automatycznym...

- Systemie, którego wdrożenie odłożono co najmniej na rok. - Kaitlyn pochyliła się do przodu i zatopiła spojrzenie w oczach Ramony. - Proszę cię, rozmawiajmy szczerze, jak zawsze. Najpierw Clay rzuca oskarżenia, ty idziesz na urlop i spędzasz tydzień u wujka. Potem wracasz, rozmawiasz z Paulem w cztery oczy, a następnie Paul odchodzi z firmy. Nie trzeba być geniuszem, żeby się zorientować, że twój wujek widział, jak Paul podkrada mikroprocesory w magazynie. To Paul jest złodziejem.

- Nie tak ostro. Zauważ, że w tym roku nie było strat. To już

przeszłość. Owszem, Paul miał bardzo poważny problem, ale regularnie chodzi na zebrania grupy AH.

- AH? - powtórzyła Kaitlyn, nic nie rozumiejąc. Ramona rozejrzała się dookoła, upewniając się, że nikt ich nie słyszy, ale i tak ściszyła głos.

- Na wzór grup Anonimowych Alkoholików powstały grupy Anonimowych Hazardzistów. Jest tu jedna taka grupa w okolicy. John mówi, że Paul nigdy nie opuszcza spotkań.

W oczach Kaitlyn pojawił się wyraz popłochu.

- To John też ma taki problem? Ramona zacisnęła usta w wąską kreskę.

- Wziął się za siebie poważnie, jeszcze zanim stało się to problemem - oznajmiła chłodno.

- Ciekawe, czemu zwierzył się tobie, a nie mnie - wyrwało się Kaitlyn i dopiero wtedy dotarło do niej, co powiedziała. - Och, przepraszam cię najmocniej! Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

- Wiem, że nie chciałaś. - Ramona uśmiechnęła się blado. - Może zwierzył mi się, bo jestem córką psychologa?

Nareszcie wszystko zaczynało układać się w sensowną całość. Kaitlyn potrzebowała jeszcze tylko jednej informacji.

- Czy John podejrzewał Paula o kradzieżę?

- Właściwie nie miał powodu. Do myślenia mógł mu dać jedynie fakt, że przez jakiś czas Paul regularnie zaglądał do magazynu, a potem nagle przestał. Tuż po przyjeździe Johna.

- Właśnie wtedy Paul zaczął chodzić na zebrania Anonimowych Hazardzistów... - dopowiedziała Kaitlyn. - Nie rozumiem jednak pewnej rzeczy. Dlaczego zarówno ty, jak i John, zachowaliście milczenie w tej sprawie? Czy dla dobra firmy nie należało złożyć raportu?

- Dla dobra Paula należało uznać sprawę za zamkniętą. Poświęcił firmie dwadzieścia lat życia. Owszem, noga mu się powinęła, ale wziął się za siebie i zdołał wyjść z nałogu. To jest godne podziwu. - Ramona popatrzyła na Kaitlyn z głębokim namysłem. - Zresztą, uważam, że każdy zasługuje na to, by dać mu drugą szansę. Nie sądzisz?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kaitlyn zapukała do drzwi Claya. Oby tylko był! Jeżeli Paul wylatywał skoro świt, nie mieli czasu do stracenia.

Nikt nie otwierał. Zapukała ponownie, tym razem gwałtowniej i mocniej. Nadal nic. Upewniła się, że nikt jej nie widzi i przyłożyła ucho do drzwi. Usłyszała odgłos włączonego wentylatora. Żadnych kroków.

Czubkiem buta uniosła brzeg wycieraczki, pod którą błysnął mały złocisty kluczyk. W obawie, że gdy zacznie się zastanawiać, nie starczy jej odwagi, podniosła go szybko, przekręciła w zamku, ale nie weszła do środka, tylko zajrzała do pokoju.

- Clay? Halo! Jesteś w domu? Muszę z tobą pogadać.

Ciszę przerywał jedynie cichy szelest gazety leżącej na kanapie naprzeciw wentylatora.

Kaitlyn zdecydowała się wejść do pokoju i zamknąć za sobą drzwi. Nie wiedziała, co teraz. Czekać? Właściwie powinna domyślić się od razu, że go nie zastanie, przecież nie zauważyła motocykla, który zazwyczaj stał za garażem.

- Co się dzieje?

Odwrociła głowę. Clay wyszedł z sypialni w nieco pomiętym ubraniu, uroczo rozczochrany. Widać było, że przed chwilą się obudził.

- Dowiedziałam się czegoś.

Niemrawo podszedł do kanapy, zrzucił gazetę na podłogę -i opadł na poduszki.

- Tak? Czego?

Przysunęła sobie krzesło do kanapy i usiadła.

- Rozmawiałam z Ramoną. Opowiedziała mi dużo interesujących rzeczy.

Clay oprzytomniał w ułamku sekundy. Usiadł prosto, a jego oczy zaślniły.

- Dawaj.

- To Paul jest złodziejem - wypaliła Kaitlyn, nie siląc się na subtelności. - Był nałogowym hazardzistą, desperacko potrzebował pieniędzy.

- Paul Novak? - zawołał z niebotycznym zdumieniem Clay. - Jesteś pewna?

- Wiem, mnie też było trudno w to uwierzyć. A jednak wszystko się zgadza.

- Czekał, powtórz mi dokładnie, czego się dowiedziałas. Kaitlyn

zrelacjonowała przebieg rozmowy z Ramoną.

- Wiesz co? Nigdy bym nie przypuszczał, że powiem coś takiego, ale aż żałuję, że udało się rozwikłać tę sprawę. Żal mi faceta. Tyle lat być wzorowym pracownikiem, a potem tak się stoczyć...

- Co zamierzasz zrobić? Clay zastanowił się.

- Najpierw porozmawiam z Paułem, a potem zawiadomię pana McCashlina i zapytam o dalsze wytyczne.

- Wezwiesz policję?

- Jeszcze nie.

Kaitlyn przyglądała mu się badawczo.

- Nie rozumiem. Wyglądasz na przybitego, a przecież osiągnąłeś cel.

Przyjechałeś tu po to, żeby wykryć złodzieja mikroprocesorów.

- To ty rozwiązałaś zagadkę kradzieży, nie ja.

- Ja tylko trochę pomogłam - zastrzegła się. - Tak jak obiecałam panu McCashlinowi. To ty wprowadziłeś wydarzenia w ruch, wiedząc, że nic nie zrobi się samo...

- I że trzeba brać sprawy w swoje ręce - dokończył i oboje wybuchli śmiechem.

Clay popatrzył na nią z zachwytem.

- Pięknie wyglądasz, gdy się śmiejesz - wyznał, dotykając dłonią jej policzka.

- Lepiej już pójdę. - Kaitlyn wstała. - Zostało ci mało czasu.

Z westchnieniem potrząsnął głową.

- Dlaczego ty zawsze musisz mieć rację?

- Cieszę się, że wreszcie to zrozumiałeś - odparta żartobliwie i ruszyła do drzwi. Clay zerwał się.

- Pozwól, że cię odprowadzę - zaproponował z galanterią. W jednej chwili był przy niej, ale zamiast otworzyć drzwi, mocno oparł o nie dłoń, uniemożliwiając jej wyjście. Gdy się odwróciła, znalazła się w jego ramionach.

- Bardzo mi pomogłaś. Zawsze mówiłem, że jesteśmy świetnie zgrani.

- Nic takiego nie mówiłeś. Życzyłeś sobie nawet, żebym nie wchodziła ci w drogę - przekomarzała się.

- Coś ci się pomyliło. Chcę, żeby zawsze nam było po drodze.

Przyciągnął Kaitlyn do siebie i pocałował.

Na taki pocałunek nie była przygotowana. Jeszcze nikt jej tak nie całował. Z taką słodyczą i delikatnością, a jednocześnie z takim zaangażowaniem. Ten pocałunek w zagadkowy sposób docierał w głąb jej duszy, a wszystkie silne postanowienia nie były w stanie oprzeć się jego łagodnej mocy.

- Och, Clay, i co ja mam z tobą zrobić? - jęknęła w końcu bezradnie.

- Możesz się ze mną...

Rozległ się pisk opon i trzaśnięcie drzwi. Zamarli.

- Co to? - zaniepokoiła się Kaitlyn.

- Nie wiem. Lepiej sprawdźmy. Szybko wyszli na podest. Do drzwi domu dobijał się Harry Noles.

- Harry, czy coś się stało? - zawołała Kaitlyn. Komendant policji popatrzył w ich kierunku, osłaniając oczy dłonią.

- Kaitlyn? Gdzie są wszyscy?

- Tata z Tomem pojechali do Ohio na zawody wędkarskie, a Joe jeszcze śpi. No, teraz chyba już nie śpi, na pewno go obudziłeś. Harry popatrzył na nią dziwnym wzrokiem i kiwnął ręką.

- Możesz do mnie zejść? Obawiam się, że mam dla ciebie złe wieści. Zrobiło jej się zimno. Niemal dokładnie takie same słowa usłyszała kiedyś w szpitalu, zanim powiedziano jej, że Ben cierpi na nowotwór. Zdjęta zgrozą, zbiegła na dół.

- Kaitlyn, nie masz pojęcia, jak mi przykro, że muszę ci to powiedzieć.

- Policjant przerwał na chwilę i przesunął dłonią po twarzy. - Był wypadek na autostradzie.

Nogi ugięły się pod nią i upadłaby, gdyby nie silne ramiona, które pochwyciły ją od tyłu. Nie miała pojęcia, że Clay zszedł za nią.

- Jestem przy tobie - szepnął jej do ucha.

- Czy oni obaj? - Głos jej się załamał.

Pożegnała ich raptem parę godzin wcześniej. Ach, jakie mieli świetne humory z samego rana, jak się przechwalali, że w tym roku staną na podium, bo niechybnie trafi im się taaaaaka ryba!

Harry potrząsnął głową.

- Chodzi o Joego. Kaitlyn odetchnęła z ulgą.

- To jakaś pomyłka. Joe wrócił z nocnej zmiany i odsypia.

Harry rozłożył ręce.

- Przykro mi. Twój brat właśnie miał wypadek motocyklowy.

- Nie, to nie mój brat. Przecież Joe nie ma motoru. - Zaśmiała się nerwowo.

Komendant przeniósł spojrzenie na Claya.

- To był harley. Dokładnie taki sam jak pański. Kaitlyn odwróciła się i popatrzyła na Claya z niedowierzaniem.

- Dałeś mu swój motocykl? - spytała oskarżycielskim tonem.

- Skądże znowu. Mój stoi za garażem. Przeszył ją lodowaty dreszcz.

- Nie, nie stoi - oznajmiła nieswoim głosem. - Dlatego myślałam, że nie ma cię w domu.

- Tu jest bezpiecznie, więc zostawiam kluczyk w stacyjce... -

powiedział z równą zgrozą Clay.

Zapadło milczenie.

Kaitlyn czuła, jakby zaciskała się wokół niej jakaś obręcz. Prawie nie mogła oddychać.

To niemożliwe. Mój brat. Znowu. Wszystko tylko nie to.

- Co z nim? - Miała wrażenie, że własny głos dobiega | ją z bardzo daleka.

- Nie jestem pewien. Wiem jednak, że zabrano go do | szpitala w Vickersville.

- A więc żyje!

- Tak.

Zdecydowanie otarła łzy wierzchem dłoni.

- Muszę go natychmiast zobaczyć.

- Tylko nie prowadź sama w takim stanie - zaproponował l Harry. - Zaraz spróbuję znaleźć kogoś, kto cię zawiezie. l Sam bym to zrobił, ale nie mogę zejść ze służby.

- Ja ją zawiozę - zadeklarował Clay. Popatrzyła na niego, jakby był niespełna rozumu.

- Przecież masz porozmawiać z Paulem.

- Mogę to zrobić później.

- Możesz już nie mieć okazji.

- Zawiozę cię do szpitala - powtórzył Clay twardym tonem, który ucinał dalszą dyskusję.

- Daleko jeszcze?

Ostatni raz zadała to pytanie chyba przed minutą, ale Clay nie okazał nawet śladu zniecierpliwienia.

- Jakies dziesięć minut. Jak się czujesz? Wzruszyła ramionami.

- W porządku.

Zerknął na nią kątem oka. Wygląd Kaitlyn zadawał kłam jej słowom. Wystarczyło spojrzeć na bladą twarz, nieruchomą i bladą, w której płonęły dziwnym blaskiem nienaturalnie wielkie oczy.

Gdyby tylko mógł coś dla niej zrobić...

- Nie masz pojęcia, jaka jestem ci wdzięczna. Zrobiło mu się głupio.

- Nie masz za co. Gdybym nie zostawił kluczyka w stacyjce, nic by się nie stało.

- To nie twoja wina. - Kaitlyn dotknęła jego ramienia uspokajającym gestem.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - zapewnił, starając się wlać w te słowa jak najwięcej otuchy.

Kaitlyn odwróciła twarz do okna. Tata mówił to samo, gdy chodziło o Bena.

- To już Vickersville. Na pierwszych światłach w prawo - poinstruowała go i odmówiła w myślach krótką, żarliwą modlitwę.

Za Bena też się modliła i nie pomogło. Miała jednak nadzieję, że może tym razem...

Clay nerwowo krążył po poczekalni. Chciał wejść razem z Kaitlyn, ale lekarz powiedział, że tylko członkowie rodziny mogą odwiedzić pacjenta. Na szczęście okazało się, że stan Joego nie był aż tak bardzo ciężki, jak wszyscy początkowo przypuszczali.

To dziwne, jak szybko człowiekowi może się wszystko przewartościować, pomyślał Clay z niedowierzaniem. Jeszcze parę

godzin wcześniej liczyło się dla niego wyłącznie pomyślne zakończenie śledztwa. Teraz najważniejsza była Kaitlyn i jej brat.

Dzwonek komórki przerwał jego rozważania. Clay odebrał pośpiesznie, żeby nikomu nie przeszkadzać.

Andrew McCashlin swoim nieomylnym szóstym zmysłem wybrał właśnie ten moment, by zadzwonić i zapytać o postępy śledztwa.

- Chyba go mamy, tato - oznajmił Clay i w krótkich słowach opisał całą sprawę, podkreślając, że główna zasługa przypada Kaitlyn. - Nie wiem, czy uda mi się porozmawiać z Pauliem. Ktoś miał wypadek, jestem akurat w szpitalu, nie mogę tak teraz zostawić przyjaciół. Niestety, Paul z samego rana wylatuje na Bahamy. Mam zawiadomić policję?

- Wstrzymaj się z tym. - W słuchawce na chwilę zapadła cisza. -

Zajmij się przyjaciółmi. Sam przyjadę do Shelby i pogadam z Pauliem. Chcę usłyszeć jego wersję zdarzeń, zanim zdecyduję, co dalej;

- Wiem, że to nie moja sprawa - wtrącił Clay, ani na moment nie spuszczać wzroku z drzwi, za którymi znikła Kaitlyn. - Ale czy mógłbyś nie być dla niego zbyt surowy? Wydaje mi się, że to całkiem porządny człowiek, tylko uległ słabości. Może daj mu jeszcze jedną szansę?

W tym momencie pojawiła się Kaitlyn.

- Świetnie się spisałeś, synu. Naprawdę świetnie.

W innych okolicznościach pochwała z ust ojca sprawiłaby Clayowi olbrzymią radość, przecież bezskutecznie zabiegał o to latami, teraz jednak liczyło się tylko to, co miała do powiedzenia Kaitlyn o stanie Joego.

- Dzięki, tato. Zadzwonię później - rzucił do słuchawki, rozłączył się i popatrzył pytająco.

- Wyjdzie z tego. Ma wstrząśnienie mózgu, paskudną ranę na nodze i masę siniaków, ale nic poza tym.

- Dzięki Bogu! - Clay odetchnął z ulgą, podszedł bliżej i przygarnął dziewczynę do siebie. - Widzisz, mówiłem ci, że wszystko będzie dobrze.

Ku jego zdumieniu Kaitlyn zaczęła szlochać.

- Hej, co jest? Przecież powiedziałaś przed chwilą, że wyjdzie z tego.

- Tak się bałam - wyjaśniła przerywanym głosem. - Co by było, gdybym i jego straciła?

- Ale nie straciłaś. Już dobrze, już wszystko dobrze...

- uspokajał ją, gładząc po włosach. Ktoś wszedł do poczekalni.

- Przepraszam, że przeszkadzam, pani Killeen. Kaitlyn osuszyła twarz trzymaną w ręku gazą i odwróciła się.

- Tak?

- Muszę pani zadać jeszcze parę pytań - powiedział policjant z drogówki.

- Kiedy ja już opowiedziałam panom wszystko, co wiem na ten temat.
 - Chodzi o motor. Interesuje nas, kto jest jego właścicielem i jak to się stało, że pani brat go prowadził.
 - To mój motocykl - poinformował natychmiast Clay.
 - Pożyczyłem go Joemu. Chłopak chciał się przejechać. Policjant zajrzał do trzymanego w ręku notesu.
 - Według naszych informacji pojazd został zarejestrowany na nazwisko Clay McCashlina.
 - Tak, to ja - potwierdził, nie patrząc na Kaitlyn.
- Nie w taki sposób miała się o tym dowiedzieć. Niestety, teraz nie było możliwości, żeby ją jakoś uprzedzić i złagodzić szok. Najważniejsze, żeby policja nie wzięła Joego za złodzieja.
- Czy ma pan przy sobie jakieś dokumenty? Clay sięgnął po portfel, wyciągnął z niego prawo jazdy i podał policjantowi.
 - Muszę to sprawdzić. Proszę chwilę poczekać. Policjant oddalił się na przeciwległy koniec poczekalni, dyktując dane przez krótkofalówkę.
 - Clay McCashlin? - spytała napiętym głosem Kaitlyn. - Z tych McCashlinów?
 - Andrew McCashlin to mój ojciec.
 - Czyli cała gadka o tym, jak to dla niego pracujesz...
 - To prawda. Pracuję u mojego ojca, odkąd skończyłem szkołę.
- Widział, że Kaitlyn czuje się bardzo głęboko dotknięta brakiem szczerości z jego strony.
- Dlaczego nie powiedziałaś mi, kim jesteś? - naciskała.
 - Chciałem, żebyś widziała mnie, a nie syna miliardera. Rozumiesz? Mnie samego.
 - Wyszłam na idiotkę. Jak sobie przypomnę, co wygadywałam na temat twojego taty...
 - Byłaś nim zachwycona. A ja mogę mieć pewność, że to był szczerzy zachwyty, co mnie bardzo cieszy.
- Przez długą, bardzo długą chwilę przypatrywała mu się w milczeniu.
- Okłamałeś mnie, Clay.
 - Kaitlyn, ja...
 - Nie jestem na ciebie zła - przerwała mu z ciężkim westchnieniem. - Po prostu nie mam do tego głowy. Teraz chcę tylko, żeby mój brat wyzdrowiał. Najważniejsza jest rodzina, wszystko inne może poczekać. Święte słowa, pomyślał.
 - Hej, Kaitlyn - Koleżanka postukała w komputer. -Po pracy idziemy całą paczką do. knajpy. Pójdiesz z nami? Podniosła głowę i uśmiechnęła się przepaszająco.
 - Poszłabym z największą ochotą, ale nie mam czasu. Jeszcze nie kupiłam żadnych prezentów, nie mam pojęcia, czy się wyrobię.
- Abby Martin ze zrozumieniem pokiwała głową.
- Coś o tym wiem. Wczoraj ubierałam choinkę w środku nocy, bo

wiedziała, że inaczej za nic nie zdaje.

Wyglądało na to, że święta Bożego Narodzenia zaskoczyły wszystkich pracowników Raintree Designs. Nadeszły nie wiadomo kiedy.

Kaitlyn nie mogła uwierzyć, że od czterech miesięcy jest w Chicago.

Wszyscy ją uprzedzali, że minie sporo czasu, zanim przywyknie do życia w wielkim mieście, a tymczasem od pierwszego dnia czuła się tu jak u siebie. Tutejsze tempo i styl pracy znakomicie odpowiadały jej temperamentowi.

Pracowała w niewielkiej firmie odzieżowej i chociaż zarabiała niewiele, była całkiem zadowolona. W pracy panowała życzliwa atmosfera, w dodatku naprawdę można było dużo się nauczyć. Wieczorami rysowała własne projekty, próbując stworzyć kolekcję, która przebojem weszłaby na rynek.

Miała mnóstwo roboty. Sądziła, że nawet nie będzie miała czasu, by pomyśleć o Clayu. Owszem, w dzień to się sprawdzało, ale kiedy kładła się spać i zamykała oczy, natychmiast wracało wspomnienie jego pocałunków. Wtedy budziły się w niej wątpliwości. Może jednak ten związek miał jakieś szansę powodzenia?

Kiedy mu oznajmiła, że to koniec ich znajomości, Clay myślał, że to z powodu jego kłamstwa. Mylił się, wcale nie miała do niego żalu.

Sprawę przesądził fakt, że Clay był synem miliardera.

On potrzebował na żonę zupełnie innej kobiety. Kogoś, kto by zajmował się prowadzeniem domu i wychowaniem dzieci, by mąż mógł poświęcić się karierze. Kogoś takiego jak jego matka.

Kaitlyn zamierzała pozostać panią swojego życia i realizować swoje marzenia. Też chciała robić karierę zawodową i nie widziała powodu, by zrezygnować z własnych planów na rzecz planów męża.

A jednak bez Claya jej osiągnięcia traciły sporą część uroku. Kilka razy przyłapała się nawet na myśli, że mogłaby do niego zadzwonić i umówić się na lunch. Zawsze jednak przywoływała się do porządku. Dokonała wyboru i musi się tego trzymać.

Clay nie widział Kaitlyn już od czterech miesięcy. Wiedział, że jest w Chicago, a od Joego dowiedział się nawet, gdzie mieszka i gdzie pracuje. Jej firma znajdowała się zaledwie kilka przecznic od niego. Ilekroć mignęła mu na ulicy rudowłosa kobieta, jego serce zaczynało bić szybciej. Niestety, w wielkim mieście szansę na przypadkowe spotkanie były nikłe.

Clay machinalnie wsunął rękę do kieszeni, żeby dotknąć kartki z wydrukowanym e-mailem od Joego. Właściwie nie wiedział, czemu nosi ją ze sobą, znał jej treść na pamięć. Ten list był pierwszym promykiem nadziei, odkąd Kaitlyn tak zdecydowanie zerwała znajomość. Miał tylko nadzieję, iż dobrze zinterpretował słowa Joego, że pod wpływem tęsknoty nie uległ iluzji.

Oczywiście, mógł czekać, aż Kaitlyn dojdzie do ładu ze swoimi

uczuciami i zadzwoni do niego, ale miał dość bierności. Doskonale wiedział, czego chce od chwili, gdy zobaczył te urzekające zielone oczy. Tak, nic nie zrobi się samo. Trzeba brać sprawy w swoje ręce.

Uśmiechnął się sam do siebie. Najwyższy czas, żeby zacząć działać. Przymierzyła sobie, że będzie trzymać się wyznaczonego planu z żelazną konsekwencją. Miała niecałe dwie godziny na zrobienie świątecznych zakupów, a więc każda minuta była cenna. Jednak wbrew postanowieniu nie wiedzieć jak i kiedy znalazła się w swoim ulubionym antykwariacie o wdzięcznej nazwie „Druga Szansa”. Odkryła ten mały sklepik już dawno. To właśnie jego nazwa jakoś do niej przemówiła i kazała wejść do środka. Kaitlyn była urzeczona staroświecką atmosferą wnętrza. Z zacięciem oglądała kolejne przedmioty, aż doszła do oszklonej gablotki z biżuterią i tam przepadła.

Różowy diament o pięknym szlifie miał co najmniej trzy karaty. Od tej pory regularnie przychodziła go oglądać. Miała ochotę wyjaśnić właścicielowi antykwariatu, że niemal taki sam pierścionek dostała kiedyś od przyjaciela. Powstrzymała się jednak, bo gdyby ją spytał o szczegóły, co by odpowiedziała? Że była to odpustowa błyskotka za dwadzieścia pięć centów?

Przed miesiącem zdecydowała się przymierzyć pierścionek. Pasował jak ulał. Natychmiast zaczęła odkładać pieniądze.

Wprawdzie miała jakieś oszczędności z gry na giełdę, ale od samego początku przeznaczyła je na rozkręcenie własnej firmy. Dotąd jeszcze nigdy się nie złamała i nie uszczknęła z nich ani centa.

- Dobry wieczór - powitał ją zza lady właściciel antykwariatu. - Zastanawiałem się, czy pani dzisiaj do nas zajrzy.

Odpowiedziała mu szerokim uśmiechem.

- Chciałam popatrzeć na mój pierścionek. Zaraz... Gdzie on jest?

- Przykro mi. Sprzedałem go. Aż ją coś zakłuło w sercu.

- Jak to? Przecież on był mój!

- Proszę pani, jestem człowiekiem interesu. - Jego oczy patrzyły beznamiętnie zza grubych szkieł. - Ostrzegalem panią, że to cacko znajdzie nabywcę. W ogóle się dziwię,

że tak piękna rzecz leżała tu tak długo.

- Ma pan rację. - Kaitlyn westchnęła z głębokim rozczarowaniem. - Mam tylko nadzieję, że trafił do kogoś, kto umie go docenić.

- A może zainteresuje panią coś innego? Dziś rano do-dostałem bardzo ładne rubiny. Potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję. Jedyne kamienie, jakie mi się podobają, to...

- Różowe diamenty? - odezwał się za nią męski głos. Nie miała pojęcia, że w sklepie jest jeszcze ktoś. Odwróciła się.

- Clay?! - wykrzyknęła z radosnym zdziwieniem. Serce jej podskoczyło, a twarz rozjaśniła się. Jaki on przystojny w tym nienagannie

skrojonym garniturze i z modnie ostrzyżonymi włosami. W każdym calu człowiek sukcesu.

- Co ty tu robisz? - spytała.

- Zakupy świąteczne. A ty?

- Teoretycznie też. Co u ciebie?

- Wszystko w porządku. Mam masę pracy, jak zawsze. Aha, niedawno widziałem się z Pauliem. Tata postanowił wykorzystać jego doświadczenie w walce z nałogiem i zatrudnić go jako konsultanta. Będzie pomagał pracownikom, których kłopoty osobiste odbijają się na jakości pracy. Wszyscy na tym skorzystają.

- Bardzo się ucieszyłam, że twój tata nie wniósł sprawy przeciw Paulowi.

- Uznał, że trzeba mu dać drugą szansę. Tata jest surowy i wymagający, ale to bardzo dobry człowiek. Nie wiem, jak mogłem tego wcześniej nie widzieć.

- Nadal u niego pracujesz? Skinał głową.

- Tak, nasze biuro mieści się niedaleko stąd.

- Mówiłeś przecież, że chcesz stać się niezależny.

- Jeszcze nie nadszedł odpowiedni moment - odparł, wzruszając ramionami. - A jak twoje plany?

- Małymi krokami posuwam się do przodu. Słuchaj, czy musimy rozmawiać na stojąco? Może chodźmy gdzieś na kawę?

Obdarzył ją uśmiechem, od którego mogło zakręcić się w głowie.

- Świetny pomysł. Odetchnęła z ulgą. Dwadzieścia minut później już wiedziała, że źle zrobiła.

Clay był tak cudowny i czarujący, że tłumione uczucie wybuchło w niej ze zdwojoną siłą. Po silnych postanowieniach nie zostało nawet śladu.

- Tak sobie myślę... - zaczęła.

- Tak sobie myślę... - powiedział jednocześnie. Wymienili rozbawione spojrzenia.

- Ty pierwsza.

- Dobrze. - Wzięła głęboki oddech i zaproponowała: -Może moglibyśmy czasem pójść razem na lunch, pogadać trochę.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

Te słowa podziałały na nią niczym kubeł zimnej wody. Jak mogła się łudzić, że taki mężczyzna czekałby tyle czasu, aż ona zmieni zdanie?

Na pewno spotkał już kogoś, a zaproszenie do kawiarni przyjął z grzeczności. Wyszło na to, że mu się narzuca.

- Masz rację - wycofała się pospiesznie. - Ja też bym nie chciała, żeby mój facet chodził na lunch z byłą przyjaciółką.

Clay zamarł.

- Masz faceta?

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Nie, nie mam.
- No przecież powiedziałaś, że nie chcesz, żeby twój facet...
- Mówiłam z punktu widzenia twojej dziewczyny - wyjaśniła. - Ona na pewno by nie chciała, żeby jej...
- Nie mam dziewczyny.
- Nie? - Rozpromieniła się.

Na ustach Claya zaigrał przekorny uśmiezek.

- Nie. Mam słabość do zielonookich rudzielców. Niełatwo znaleźć kogoś takiego.
- To ciekawe. Ja z kolei odczuwam dziwną skłonność do blondynów o orzechowych oczach. Takich to dopiero trudno znaleźć.
- Zwłaszcza tych najlepszych - dodał.
- O, tak - zgodziła się. - Raz trafił się mi jeden, a ja pozwoliłam mu odejść.

Clay spoważniał, a w jego oczach pojawiła się tęsknota i pragnienie.

- I nie żałujesz?
- Nawet bardzo. Nie mogłabym sobie wymarzyć nikogo lepszego. - Zauważyła, że on chce coś wtrącić, ale dała znak, by nie przerywał. Bała się, że potem może jej nie starczyć odwagi i nie powie wszystkiego, co jej leży na sercu. - Jest jeden problem, Clay. Ty potrzebujesz kogoś innego niż ja. Nie mogę zrezygnować z kariery i zajmować się domem. Nie jestem zdecydowana na macierzyństwo, a ty bardzo chciałbyś mieć dzieci...
- Chcę ciebie - odparł zdecydowanie. - Nic więcej mnie nie interesuje. Sięgnął do kieszeni, wyjął coś w zaciśniętej dłoni, po czym powoli rozprostował palce.

Kaitlyn gwałtownie wciągnęła powietrze.

- To ty go kupiłeś?!
- Gdy dałem ci tamten pierścionek, nie chciałem nic w zamian. Ten dostaniesz pod warunkiem, że weźmiesz i pierścionek, i mnie. Wyjdź za mnie. Nic więcej mi nie potrzeba.

Ze łzami w oczach patrzyła na swój ukochany różowy diament spoczywający w zagłębieniu jego dłoni.

- Skąd wiedziałeś? - spytała zdławionym głosem. - Koresponduję z Joem. Zdradził mi to i owo - wyjął Clay, ani na sekundę nie spuszczając pytającego wzroku z jej twarzy.
- Mam cudownego brata.
- Czy to znaczy, że... - urwał i wstrzymał oddech, czyżby wreszcie udało mu się ją przekonać?
- Tak. Ale ja też stawiam warunki.

Clay pochylił się, pocałował ją i bez zwłoki wsunął pierścionek na jej palec.

- Chwileczkę! - zaprotestowała. - A moje warunki?
- Z góry na wszystko się zgadzam. Już raz mi się wymknęłaś, drugi

raz ci nie pozwolę. Nie miał pojęcia, które z nich wykonało pierwszy ruch; już trzymał ją w objęciach i mógł całować do woli. Poczł niewyobrażalną ulgę, bo do ostatniej chwili nie był pewien jej odpowiedzi. Kaitlyn obsypywała go pocałunkami, które nie pozostawiały wątpliwości, że go kocha, pragnie, nie wyobraża sobie życia bez niego.

Przytulił ją mocniej, wiedząc, że już nigdy jej od siebie nie puści.

EPILOG

Trzy lata później.

Lori rozejrzała się po pełnym kwiatów wnętrzu i potrzęsnęła głową.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że jesteś mamą. Kaitlyn uśmiechnęła się na myśl o niespodziewanej radości, jaką synek wniósł w jej życie.

- Sama jeszcze nie mogę w to uwierzyć.

- Kiedy wracasz do pracy?

- Hej, nie przesadzaj! - odparła ze śmiechem. - To dopiero dwa tygodnie.

- Nie poznaję cię. Zawsze mówiłaś, że realizacja własnych marzeń jest najważniejsza.

- Tak, ale nie wiedziałam, że do celu mogą prowadzić różne drogi.

Lori zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem.

- Z obawy o moje plany nie chciałam wyjść za Claya, a potem okazało się, że nie mogłam zrobić nic lepszego. Bałam się, że w małżeństwie zmarnieję, a rozkwitłam.

- Aha. Rzeczywiście, jeszcze miesiąc temu byłaś w pełnym rozkwicie. Kaitlyn przewróciła oczami.

- Przecież wiesz, co mam na myśli. Zrobiłam karierę, połączyliśmy siły.

- To nie do wiary, że syn miliardera rzuca pracę przedsiębiorstwie ojca, by rozkręcić firmę żony.

- Kaitlyn Design jest naszą wspólną firmą - sprostowała Kaitlyn. - Clay zajmuje się stroną finansową, a ja projektowaniem.

- Pokaż Lori rysunki nowej kolekcji dla pracujących kobiet w ciąży - wtrącił Clay, wchodząc do pokoju z zawiniątkiem w ramionach.

Kaitlyn wyciągnęła rękę.

- Najpierw przedstawię Lori nowego mężczyznę, który pojawił się w moim życiu.

Clay podał jej zawiniątko i czule pocałował ją w czoło.

- Moja żona jest bardzo twórcza. Nie tylko ubrania wspaniale jej się udają.

- No, w powstaniu tego dzieła też miałeś swój udział - przekomarzała się Kaitlyn.

- Zawsze do usług - odpowiedział z szelmowskim uśmiechem.

Nie zwracając uwagi na małżeńskie żarty, Lori delikatnie odchyliła kocyk. Jasne włoski sterczały we wszystkie strony.

- Jest cudowny - powiedziała i delikatnie pogładziła palcem małe policzki. - Jak go nazwiecie?

- Matthew Benjamin. Po dziadku Claya i po... Po moim bracie.

- Ben bardzo by się ucieszył - uznała z pełnym przekonaniem Lori.

- Też tak myślę.

- Może czegoś potrzebujesz, kochanie? - zatroszczył się Clay.

Kaitlyn ogarnęła spojrzeniem męża, synka i oddaną przyjaciółkę.

- Nie. Mam wszystko, czego mi trzeba.